

Komunia czy targowisko próżności Porządki

Nadszedł Maj – miesiąc komunii. Sklepy zostały zaopatrzone w przedmioty oznaczone napisami: „najlepsze prezenty na komunię!”, „tylko u nas, wymarzony komunijny prezent”, etc. Każdy chce kupić coś wyjątkowego dla dziecka, na którego komunię idzie. Telefony, komputery, rowery, quady, zegarki, laptopy, telewizory, sprzęt Hi-Fi... Prześcigamy się w prezentach, aby dać to, co najlepsze, najbardziej odpowiednie według nas, lub po prostu to, co podsuwają nam wszelakie reklamy i hasła sklepowe.

Każdy z oferowanych prezentów lepszy jeden od drugiego, zaskakują solidnością, precyzją wykonania, ceną czy po prostu wyglądem. Staramy się jak najlepiej wypaść nie tylko wobec wyjątkowo wymagających dzieci, ale także wobec innych gości, którzy będą patrzeć na to, jakimi prezentami kto obdarza komunijne dziecko. Którzy oceniają czy prezent był droższy, czy też tańszy od tego, którym sami je obdarowaliśmy.

Czy jednak w tym ferworze zakupów, w prześciganiu się w pomysłach i wydawaniu horrendalnych sum na prezenty nie zapomnie-

liśmy o jednym małym szczególe? O tym, czym jest Komunia Święta? To nie jest okazja do pokazania własnej hojności. Nie jest to także celebrowanie jubileuszu, na którą należy zaopatrzyć się w prezent by go uczcić (np. urodziły się też imieniny).

Komunia Święta to dzień, w którym małe dziecko wchodzi w świat życia chrześcijańskiego i otrzymuje możliwość pełnego w nim uczestnictwa. To dzień triumfu Chrystusa, który otrzymuje nowe mieszkanie w sercu pierwszokomunijnego dziecka. To moment pełnego przystąpienia do wspólnoty, jaką jest Kościół. Nie rzeczy materialne są w tym dniu najważniejsze, ale radość z Eucharystii i z tego, że w małym sercu zamieszkał Bóg, który od momentu przyjęcia Komunii Świętej będzie żył w młodym człowieku i pomagał mu przejść przez życie.

Pamiętajmy więc, że dzień Komunii Świętej nie jest okazją do prezentacji zasobności portfela, ale wspomnieniem naszej Komunii i radością ze wspólnoty z Chrystusem.

Magda Zielonka



Wiosna tego roku nas nie rozpieszcza. Niektórzy mówią, że mamy jesień. Deszcz się leje na głowę – z niewielkimi przerwami. Ten krótki czas bez opadów (1 dzień) mieszkańcy Pawłowic, Rada Osiedla, wykorzystali na wiosenne porządki w parku nad jeziorem. Młodzi wędkarze pięknie przygotowali teren rybaczkówki do tegorocznego sezonu połowów. Podziękowania za ścięcie trawy przy jeziorze należą się Romanowi, Grzegorzowi oraz Piotrowi i Jackowi. Prace rozpoczęły się przed południem i trwały do obiadu. Po raz pierwszy zostały ostrzyżone te partie trawnika, które w latach sześćdziesiątych były wykorzystywane podczas pikników przy jeziorze – warto do tego powrócić. Oczyszczone zostały również pnie drzew w parku.

Niestety w ciągu jednego dnia nie udało się zadbać o cały park. Prace będą więc kontynuowane. Nawiasem mówiąc większa ilość osób dokonałaby tego o wiele szybciej.

Zapraszamy mieszkańców do prac przy porządkowaniu otoczenia jeziora. Razem o wiele szybciej można osiągnąć wspólny sukces. Zainteresowanych prosimy o kontakt z Jerzym Szachnowski, SKLEP „Jurek” Mirtowa 20.

Prace przez radę osiedla nadal są kontynuowane. Zapraszamy do pomocy.

(red)

Kim jest Franciszek Blachnicki?

Każdy z pewnością słyszał o Ruchu Światło-Życie czy Krucjacie Wyzwolenia Człowieka. Niejeden z nas uczestniczył bądź uczestniczy w oazowych spotkaniach młodzieży czy rodzin, ale z całą pewnością niewielu wie, kto jest autorem tych formacji i jaki one mają cel. A rzecz jest całkiem interesująca, począwszy od osoby ich założyciela. Jest nim niezwykły już ksiądz Franciszek Blachnicki (1921-1987), człowiek – instytucja o wyjątkowym życiorysie, który z całą pewnością może posłużyć za kanwę scenariusza filmowego. Jednym słowem postać fascynująca: patriota, przedwojenny harcerz, uczestnik kampanii wrześniowej, po kapitulacji wzięty do niewoli, z której uciekł. Następnie działał w konspiracji, został aresztowany przez gestapo, wywieziony do Auschwitz, skazany na karę śmierci... i wtedy właśnie nastąpił punkt zwrotny w jego życiu – po raz drugi się narodził, bo przeżył nawrócenie. Jak to się stało? Dlaczego? Jaki to miało wpływ na jego życie? **Na to pytanie, jak i na wiele innych postaramy się odpowiedzieć niebawem.**

MJS

Sedno modlitwy

Córka pewnego człowieka poprosiła księdza ze swojej parafii, żeby przyszedł pomodlić się z jej ojcem. Kiedy ksiądz przyszedł do domu zobaczył, że chory człowiek leży w łóżku wsparty na dwóch poduszkach, a przy łóżku stoi puste krzesło. Ksiądz pomyślał, że uprzedzono go o wizycie.

– Rozumiem, że oczekiwał pan moich odwiedzin? – spytał.

– Nie. Kim pan jest? – odpowiedział chory.

– Jestem nowym wikarym – odparł ksiądz. – Kiedy zobaczyłem puste krzesło, pomyślałem, że pan wie, że przyjdę.

– Ach tak, to krzesło – odezwał się chory. – Czy może ksiądz zamknąć drzwi?

Zdziwiony ksiądz zrobił, o co go proszono.

– Nigdy tego nikomu nie mówiłem, nawet córce – powiedział chory – ale przez całe życie nie umiałem się modlić. Słyszałem, jak w czasie niedzielnej mszy ksiądz mówi o modlitwie, ale zawsze puszczałem to mimo uszu. Już nawet nie próbowałem się modlić. Aż przyjaciel powiedział mi: „Janie, modlitwa, to po prostu rozmowa z Jezusem. Proponuję ci, żebyś usiadł i postawił przed sobą puste krzesło, a potem wyobraził sobie, że siedzi na nim Jezus. Nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież Jezus obiecał, że zawsze będzie z nami. Potem mów do Niego i słuchaj Go, tak jak to robisz teraz ze mną”. Więc widzi ksiądz – ciągnął dalej chory – spróbowałem tak robić i tak mi się to spodobało, że teraz robię to codziennie. Muszę jednak uważać. Gdyby moja córka zobaczyła, że rozmawiam z pustym krzesłem, albo sama by się załamała, albo wysłałaby mnie do wariatkowa.

Ksiądz był głęboko poruszony opowieścią i zachęcał starszka, by nadal odprawiał swój codzienny modlitewny rytuał. Pomodlił się wspólnie z nim, udzielił mu sakramentu chorych i wrócił na plebanię. Dwa dni później, wieczorem zadzwoniła córka, by poinformować, że jej ojciec zmarł popołudniu.

– Czy robił wrażenie, jakby zmarł w pokoju? – zapytał ksiądz.

– Tak, proszę księdza – odpowiedziała córka. – Kiedy koło drugiej wychodziłam, przywołał mnie do siebie, opowiedział jeden z tych swoich przedpotopowych dowcipów i ucałował mnie w policzek. W godzinę później, gdy wróciłam ze sklepu, już nie żył. Ale było coś dziwnego. A nawet więcej niż dziwnego – wprost niesamowitego. Wygląda na to, że tuż przed śmiercią tatuś musiał upaść, bo zastałam go z głową na krześle stojącym przy łóżku.

(www.adonai.pl)

Na przełomie kwietnia i maja (30.04-3.05.2010r.) na Górze Św. Anny odbyły się rekolekcje tematyczne „Dziedzictwo Sługi Bożego ks. Franciszka Blachnickiego – zrozumieć, umiłować i być wiernym!”. W rekolekcjach uczestniczyli młodzi ludzie z Oaz Rodzin, do uczestnictwa w których zapraszamy. Zajęcia składały się głównie z wykładów Doroty Seweryn, współpracownicy ks. Franciszka, na temat historii życia i śmierci tego wspaniałego człowieka. Wkrótce przedstawimy piękną historię życia ks. Franciszka.



ks. Franciszek Blachnicki

Jeśli miałbym coś do przekazania i chciałbym coś przekazać w moim duchowym testamencie, to właśnie ten dar: charyzmat Światło-Życie. Zrozumienie, umiłowanie, wierność wobec tego charyzmatu.

Ks. F. Blachnicki, Testament



Rzymsko-katolicka Parafia Najświętszego Serca Pana Jezusa
ul. Barwinkowa 11, 51-251 Wrocław, tel./fax 71/324-21-21
e-mail: ks.m.machal@archidiecezja.wroc.pl, www.nspj.wroclaw.pl
Bank DnB NORD nr 45 1370 1330 0000 1701 4202 3100
konto dla budowy DOMU JANA PAWŁA II
DnB NORD nr 87 1370 1330 0000 1706 4202 3103

MSZE I NABOŻEŃSTWA NA TERENIE PARAFII

NIEDZIELA

- 8.00 – Msza Święta z Godzinkami o Niepokalanym Poczęciu NMP
- 9.30 – Msza Święta z udziałem dzieci
- 11.00 – Suma Parafialna – na zakończenie modlitwa południowa
Anioł Pański/Regina Caeli Laetare
- 17.00 – Nabożeństwo okresowe – w zależności od okresu liturgicznego/miesiąca
- 18.00 – Msza Święta wieczorna

ŚWIĘTA ZNIESIONE

9.00 poranna, 16.00 dla dzieci, 17.00 Pruszwice, 18.00 wieczorna

DNI POWSZEDNIE

- 18.00 – Msza Święta; nabożeństwa zasadniczo po Mszy Św., z wyjątkiem Drogi Krzyżowej i Nowenny do MB Nieustającej Pomocy – przed Mszą św.

PRUSZOWICE

- 9.30 – niedziela – Msza Święta
- 17.00 – środy – Nowenna do MB Nieustającej Pomocy z Mszą Świętą
- 17.00 – 1.-piątek miesiąca – okazja do spowiedzi, nabożeństwo do Serca Pana Jezusa oraz Msza Święta

SAKRAMENT POKUTY I ADORACJE

Zasadniczo codziennie pół godziny przed Mszą/Nabożeństwem; dodatkowo 1. czwartek i 1. piątek miesiąca od 17.00. W tym czasie adoracja Najświętszego Sakramentu. 1. niedziela miesiąca – adoracja z rozważaniem po każdej Mszy Świętej. W piątki po Eucharystii Koronka do Miłosierdzia Bożego.

KANCELARIA PARAFIALNA

Czynna codziennie po Mszy Świętej, za wyjątkiem niedziel i świąt. W sprawach nagłych możliwość kontaktu z Księdzem o każdej porze.

KLASZTOR SIÓSTR BENEDYKTYNEK-SAKRAMENTEK

ul. Przedwiośnie 76/78, 51-211 Wrocław, tel. 71/330-41-04
Msze Święte w niedziele o godz. 7.30; w tygodniu o godz. 7.00

Przyzwoitość

Można nie być dzielnym i mężnym, można nie być bohaterem ani zwycięzcą, wystarczy, że jest się PRYZYWOITYM. Ta cecha czyni z nas człowieka, prawdziwego człowieka, bo PRYZYWOITOŚĆ jest cechą, która nas wyróżnia i odróżnia od świata zwierzęcego.

Świadomość PRYZYWOITOŚCI naszego postępowania wobec innych już nas USZLACHETNIA, a szlachetność jest cechą, która stoi tuż przy przyzwoitości, a nawet może być z nią wymienialna.

Ktoś może rzec, że zarówno szlachetność, jak i przyzwoitość to cechy dawne, już przebrzmiałe, nieaktualne. Bo kto dzisiaj o nich pamięta, myśli czy o nie dba? To rzeczy należące do Polski przeszłej, szlacheckiej, najwyżej do tej z dwudziestolecia lub czasów wojny. Takie cechy mieli i kultywowali Sarmaci i ich przodkowie, hetmani: Jan Sobieski i Stanisław Żółkiewski, Karol Chodkiewicz czy Stefan Czarniecki, ich późniejsi pobratymcy: książę Józef Poniatowski, Tadeusz Kościuszko, Romuald Traugutt, ale i generałowie: Władysław Sikorski, Władysław Anders, Stanisław Maczek, August Emil Nil-Fiełdorf czy major Henryk Dobrzański – Hubal i rotmistrz Witold Pilecki. To także podoficerowie, oficerowie, żołnierze leżący w dołach katyńskich, Charkowa, Miednoje i tylu innych miejscach nieludzkiej ziemi, jaką stało się dla Polaków olbrzymie Imperium Rosyjskie.

Nie chcę powiedzieć, że szlachetność i przyzwoitość to cechy, którymi wyróżniają się tylko Polacy, bo byłoby to przyznaniem się do megalomanii narodowej. Przyzwoici mogą być także przedstawiciele innych narodów, w co nie należy wątpić. Szlachetnych Amerykanów, Francuzów czy Anglików i Rosjan nie brakowało i nie brakuje. Dlaczego zatem słowo PRYZYWOITOŚĆ jest tak rzadko używane i nosi raczej znamie archaiczności, uznawane jest za mocno patetyczne i staromodne? A przywoływane jest rzadko i najczęściej z jakiejś świątecznej okazji, a do tego raczej półgębkiem? Bo jest coś w tym słowie tak mocnego i czystego, że przywołanie go porusza wszystkie nasze dobre i szlachetne struny. Dlatego unikamy raczej jego używania, zastępując je eufemizmami, które, niestety, nie zastąpią w pełni wartości i znaczenia słowa PRYZYWOITOŚĆ. Nie chcę moralizować, bo to najłatwiejsza droga do zafalszowania rzeczywistości, dlatego przykłady na zilustrowanie PRYZYWOITOŚCI przytoczę z różnych dziedzin życia.

Najlepiej zapytać na początek: kim jest człowiek przyzwoity? To człowiek prawy, a więc ten, który zachowuje się w życiu i wobec siebie, i wobec innych w sposób tradycyjnie uznany za dobry i szlachetny. PRYZYWOITOŚĆ powinna obowiązywać nas zawsze, nawet wówczas, gdy nie sprzyjają temu okoliczności i sytuacja. To niby proste, a jednak trudne, bo najtrudniejsze są właśnie rzeczy proste i zwyczajne.

Prawość pochodzi od słowa prawy i łączy się w łańcuchu słowotwórczym ze słowem prawdziwy. Mówimy: prawy człowiek, prawy małżonek i żona, prawy lekarz i nauczyciel. A więc ludzie wartościowi, godni szacunku i poważania,

a także naśladowania. Może nie wzorce, ale bliscy wzorcom, bo prawość łączy się ze wzorcowością. A ta jest dążeniem do ideału, a więc do czegoś, co osiągają tylko nieliczni (choćaby święci). Co nie oznacza, aby nie dążyć do jego osiągnięcia.

Zastanawiam się, czy istnieje PRYZYWOITOŚĆ, czyli PRAWOŚĆ polityczna. I dochoǳę do wniosku, że tak dawniej, jak i współcześnie polityka niewiele ma wspólnego z tymi cechami. A przyjmując, że wszystko jest polityką (bo tak w istocie jest), niewiele dobrego możemy powiedzieć o tym, co wokół nas się dzieje, a więc i o stosunkach międzyludzkich. Z drugiej strony nie można jednak aż tak pesymistycznie patrzeć na świat i ludzi, bo z przyzwoitością i prawością w polityce i wśród polityków też się spotykamy. Oczywiście, wszystko zależy od punktu widzenia i naszych zapatrywań ideowych oraz wyznawanych wartości. To jednak, czy postanowimy pozostać im wierni, zależy od nas samych. Nie możemy uznać za przyzwoitość przechodzenia z jednej partii politycznej do drugiej, aby na tym zyskać i utrzymywać się u władzy. To nie jest żadna ewolucja poglądów, ale zwyczajna zdrada. I inaczej tego nie można nazwać, bo popełnimy wówczas grzech mówienia nieprawdy. Mam prawo tak mówić, bo takie wyznaję wartości i nikt nie może ich kwestionować (najwyżej z nimi polemizować i dyskutować merytorycznie), ani ośmieszać czy z nich szydzić.

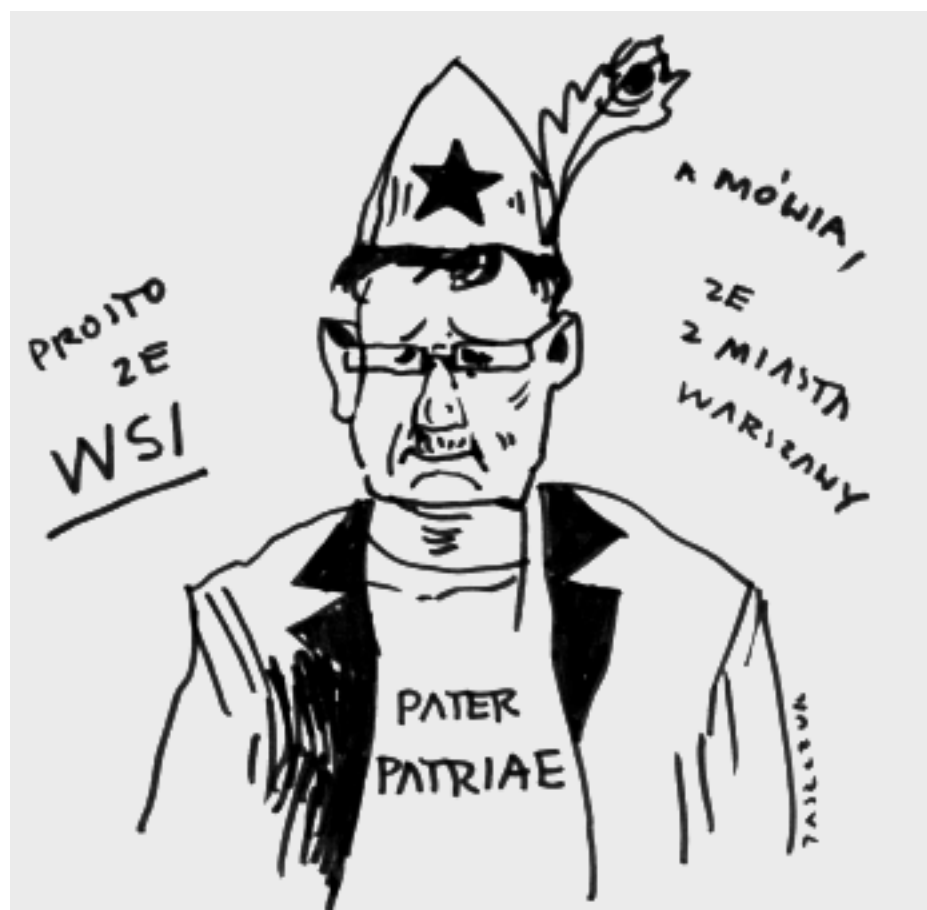
Zmienianie poglądów, zmienianie partii, zmienianie wartości, w które dotychczas wierzyliśmy, jest naruszeniem PRYZYWOITOŚCI. A komuś, kto nie jest PRAWY, czyli PRYZYWOITY, nie podaje się ręki i po prostu zwyczajnie nie wierzy się w jego dobre intencje. Bo

pod tego typu postępowaniem zawsze kryje się CYNIZM i HIPOKRYZJA. Bo są one odwrotnością tych omawianych cech i mają konotację negatywną. Niepodawanie ręki komuś, kto jest dla nas zdrajcą, jest przykładem drastycznym i raczej rzadko stosowanym w życiu. To kwestia naszego stosunku do takiego człowieka i czynu, jakiego się dopuścił. Czy wybaczenie złych rzeczy jest chrześcijańskim obowiązkiem? Z punktu widzenia ewangelicznego – tak, jeśli nastąpi przyznanie się do winy (grzechu) i pokuta. Bez nich nie istnieje wybaczenie.

Moje rozważania o PRYZYWOITOŚCI, czyli PRAWOŚCI, powinienem zakończyć czymś optymistycznym. Bo dzięki optymizmowi, a nie pesymizmowi lepiej się żyje i funkcjonuje. Tak być powinno, a nie zawsze jest. I na to nie ma rady.

Warto być PRYZYWOITYM w życiu codziennym, a w polityce szczególnie, bo to jest świecznik, na którym się stoi i jest się oglądanym ze wszystkich stron. I ocenianym, czy się tego chce, czy nie. Nie jest PRYZYWOITOŚCIĄ być INNYM w zależności od okoliczności, udawać kogoś innego niż się jest, być fałszywym w swym zachowaniu, mówić to, co mówią inni, od których jesteśmy zależni. Jeśli jesteśmy już tak bardzo zakłamanymi, że nie jesteśmy sobą – warto przewartościować nasze zachowanie, bo PRYZYWOITOŚĆ przywraca nam wiarę w człowieczeństwo. Przywrócić może naszemu człowieczeństwu to, co najważniejsze – wiarę w prawość, prawdziwość naszego postępowania, w godność bycia naprawdę człowiekiem.

K.B.



Autorytety

W historii ludzkiej cywilizacji prawie zawsze istniały autorytety. Byli to ludzie powszechnie szanowani, podziwiani i naśladowani. Często jednak ów szacunek narzucany był siłą.

Autorytet miał przedstawicieli władzy, bo się go obawiano, czy wręcz odczuwano przed nim strach. Był to (i jest) autokrata, który narzucał swoją wolę innym na różne sposoby, włącznie z przemocą, brutalnością i użyciem siły fizycznej, a brak podporządkowania czy okazanie niezadowolonia mógł skończyć się śmiercią, obozem, więzieniem.

Nie jest moim celem pisanie eseju o autorytetach opartych na przemocy stosowanej przez autokratyczną władzę, wszystko jedno czy faszystowską, nazistowską czy komunistyczną. Do dzisiaj autorytetami wszystkich neo- są: Hitler, Mussolini, Stalin. I choć w większości państw świata, oczywiście tych demokratycznych, zakazane są ruchy i partie typu faszystowskiego czy komunistycznego, to istnieją one, żyją i rozwijają się. Trudno pojąć, dlaczego w Parlamencie Europejskim dopuszcza się do istnienia frakcji komunistycznej, która często walczy o różne – według niej – tolerancje, czy raczej pseudotolerancje. Bo narzucanie czegoś siłą, czyli przekonanie większości o racjach mniejszości i zdominowanie większości przez mniejszość niewiele ma wspólnego z prawdziwą tolerancją jak i z demokracją. Jest dyktatem, a ten nie mieści się w definicji tolerancji. Takich „kwiatków” w naszej zachodnioeuropejskiej demokracji jest wiele, a „wymyślone” są one przez lewicowców czy liberałów i narzucane większości. Takie socjalliberalne „autorytety” promuje się codziennie, a przecież nie są to żadne autorytety. A już na pewno

nie autorytety moralne, bo o takie mi przede wszystkim chodzi.

Pseudoautorytety są charakterystyczne dla współczesnych czasów. Kreuje się je mówiąc o nich zazwyczaj jako o „niekwestionowanych autorytetach”, mimo że takimi nie są. Jeśli już, to raczej antyautorytetami.

Niewątpliwym autorytetem moralnym dla katolików jest papież, ale może on być autorytetem także dla wielu niechrześcijan. Takim był – ze względu na swe poglądy i sposób bycia – Jan Paweł II, papież-Polak. To samo można powiedzieć o tybetańskim przywódcy religijnym, Dalajlamie. Niewiele religijnych autorytetów moralnych takiego formatu można wymienić, chociaż dla każdego odłamu czy formacji religijnej takimi autorytetami są ich przywódcy. U nas, w Polsce, takimi autorytetami moralnymi byli jeszcze ksiądz kardynał Stefan Wyszyński i ksiądz Jerzy Popiełuszko. Nic więc dziwnego, że pretendują oni do wyniesienia na ołtarze.

Sięgnijmy teraz do polityki i nauki, bo te dziedziny życia są zawsze w kręgu zainteresowań wielu osób. Spójrzmy przede wszystkim na nasze polskie podwórko, na którym ciągle wrze jak w rozpalonym tyglu, a autorytetów moralnych raczej nie uświadczymy, a jeżeli już, to pojawiają się rzadko i natychmiast są „opluwane i opluśkowane”. (Jest to zachowanie typowo polskie, charakterystyczne zresztą nie tylko dla naszych czasów, mające swe źródło w dawnej kulturze sarmackiej). Cóż, takie są autorytety (te moralne także), jakie są elity, z których się one najczęściej wywodzą. A rządzą nami elity (czy raczej elity albo salony), które „uksztaltały” się w czasach PRL-u. I choć przeszły chrzest bojowy w okresie „Solidarności” (tej pierwszej, z lat 1980-81), to mentalnie prawie się nie różnią od swoich wychowawców i edukatorów. Szczególnie ci, którym do głowy uderzyła władza, kiedy się do niej

„dorwali”. Niewiele różnią się w sposobie bycia, wysławiania, ci stojący „u szczytu schodów” (określenie Zbigniewa Herberta) w stosunku do tych stojących niżej, od tych, których pogardliwie nazywa się „komuchami”. W odwecie (słownym, ale nie tylko) nazywa się ich „solidaruchami” – określenia tego używał sztyrczo rzecznik prasowy rządu z okresu stanu wojennego, Jerzy Urban (dziś „pan redaktor” brukowego tygodnika „NIE”). Wystarczy przyjrzeć się, wsłuchać, co i jak mówią przedstawiciele „nowej” władzy, aby zobaczyć i usłyszeć nowych Gierków, Babiuchów czy Rakowskich. Cóż, wykształcenie zdobyte w czasach PRL-u (szczególnie humanistyczne, historyczne czy polonistyczne, ale nie tylko) daje znać o sobie. A nawet nawyki i przyzwyczajenia wyniesione z czasów studenckiej działalności i obcowania z „naukowcami” (szczególnie tymi z okresu Marca 1968 roku, którzy w większości ciągle funkcjonują, chociaż powinni być po 1989 roku przeniesieni na emeryturę), dla których lustracja jest czymś karygodnym i niepojętym. Zresztą, ze zrozumiałych względów. Dla mnie niepojęte jest „dobre” przyjmowanie mianowania na stopnie profesorskie z rąk niedouczzonego prezydenta, bez skończonych studiów wyższych, i „wzdraganie” się przed ich przyjęciem z rąk prezydenta z tytułem naukowym profesora z powodu nieuzasadnionej niechęci do niego. Myślę, że wiadomo o kim mowa.

Funkcjonuje u nas, a właściwie bryluje na salonach, „profesor” – nieprofesor faktycznie, bo ma tylko maturę, o którym mówi się „niekwestionowany autorytet moralny”. Dla kogo jest, dla tego jest, bo dla mnie nie. Ten, który ludzi należących do opozycji nazywa „bydłem”, a żalobę narodową i jej przejawy po śmierci prezydenta określa (dla prasy zagranicznej) NEKROFILIA – w żaden sposób nie zasługując na to miano. Żaden z niego „profesor” – był nim zmarły prezydent, Lech Kaczyński, był zmarły prezes IPN-u, Janusz Kurtyka – żaden autorytet, raczej śmieszny starszek, którego „dzieła” w każdej ilości można dostać w tanich księgarniach, bo nie można ich było sprzedać w normalnie funkcjonujących, leżały i kisiły. To tego „pana profesora” od lat sztucznie, medialnie czyni się „autorytetem moralnym”, dając mu asumpt do nadymania się i uważania za kogoś lepszego. O kim mowa w tym passusie mojego eseju chyba wszyscy wiedzą.

Jeszcze jeden okrzykany „autorytet moralny”, który nim de facto nie jest, to wiekowy (jak i poprzedni „profesor”) filmowiec, który zabiera głos w nie swoich sprawach i jątrzy. Nie pierwszy to „protest-wyglup” tego zasłużonego skądinąd filmowca, który zwyczajnie się kompromituje.

Starość jednak nie musi się tragicznie ośmieszać. Przykładem jest tu Tadeusz Różewicz, inny „śmieszny starszek”, mówiąc jego słowami, a właściwie tytułem utworu. I choć ten znakomity poeta jest starym człowiekiem, w żadne „autorytety moralne” się nie bawi. Jest autorytetem literackim (w poezji, dramacie), przez nikogo niekwestionowanym. Jest i będzie. Nie musi się o to upominać i pisać „autorytatywnych” śmiesznych elaboratów.



Przemek

Hipokryzja

Nie jestem czarnowidzem, raczej optymistycznie oceniam świat, ludzi i życie. Ale realistycznie patrzę na otaczającą mnie rzeczywistość. Dlatego boli mnie, uwiera i deenerwuje wszechobecna hipokryzja. O niej więc chcę napisać kilka słów.

Zacznę od prostej etymologii słowa, czyli jego pochodzenia. Hipokryzja jest słowem pochodzenia greckiego (hypokrinesthai = „grać rolę, udawać”) i oznacza OBLUDĘ, ZAKŁAMANIE, UDAWANIE CZEGOŚ, BY ZATUSZOWAĆ SWE PRAWDZIWE MYŚLI I INTENCJE. A hipokryta to człowiek dwulicowy, obłudnik. Po rosyjsku to LICEMIERNIK, czyli ktoś o dwu czy wielu twarzach. Niekiedy znakomitą komedię Moliera „Świątoszek”, bo pod takim tytułem znamy ją z lektury szkolnej, tłumaczy się na język polski jako „Szalbierz” lub „Obłudnik”, co dobrze oddaje typ i charakter człowieka ukazanego w postaci Tartuffe’a. Może nawet lepiej i dosadniej niż jako świętoszka, bo nie sprowadza się wówczas jego zachowania tylko i wyłącznie do zakłamania moralnego, religijnego. Przecież nasz bohater jest ucieleśnieniem nie tylko obłudy religijnej, także dwulicowości odnoszącej się do prawie każdej sytuacji, w której się znalazł: obyczajowej, społecznej, etycznej – czyli w szeroko rozumianych stosunkach międzyludzkich. To typ człowieka jakże często spotykany i dzisiaj, a może nawet częściej niż w XVII-wiecznej Francji, w której jest osadzona akcja komedii Moliera. Nieśmiertelny Tartuffe ma się i dzisiaj doskonale, dlatego między innymi mówi się o uniwersalności utworu Moliera i stworzonego przez niego arcytypu, arcycharakteru, który trwa już przez ponad trzysta lat i „nie starzeje się”, a co gorsza – siedzi w wielu z nas.

Skoro już piszę o Molierze i jego szalbie-rzu, obłudniku, to trzeba zaznaczyć, że równie żywe są inne stworzone przez niego postacie: Harpagon, czyli skąpiec nad skąpcami, mizantrop albo odludek, mieszczanin snobujący się na szlachcica czy „pocieszne wykwinisnie” (modnisie). W nieco innym otoczeniu, innym wydaniu, bo zmieniają się czasy, ale nie ludzie ze swoimi wadami i zaletami. Długa, bardzo długą żywotność mają zwłaszcza przywary ludzkie. Wystarczy zajrzeć do Biblii, aby się o tym przekonać.

Wracam jednak do hipokryzji, która wydaje mi się jedną z najgorszych ludzkich wad, bo odczłowiecza, degraduje człowieka i jego człowieczeństwo. Do niedawna lekturą szkolną była tragifarsa Gabrieli Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej”. Zresztą cieszyła się ona uznaniem przez uczniów i była czytana lub oglądana w wersji teatralnej chętnie i z dużym zainteresowaniem. Podwójna moralność pani Dulskiej, ta prawdziwa, prezentowana wprost w domu i w stosunku do swoich najbliższych, czyli artykułowana i stosowana na co dzień – to autentyczna twarz naszej bohaterki. Przez życie trzeba iść rozpychając się łokciami – radzi swojemu synowi, bo tylko tak można coś osiągnąć. Po to są cztery ściany i sufit, aby brudy prac w własnym domu, naucza całą rodzinę i czyni z

tego powiedzenia życiową maksymę. Trzeba mieć więc dwie twarze: tę dla „domowych” i tę dla „innych”. Szczególnie jeśli chodzi o moralność, a więc problem odróżniania dobra od zła. To, co czyni pani Aniela Dulska w stosunku do męża, córki i syna jest pełne obłudy i zakłamania. To nie moralność, ale jej brak. To naginanie zasad moralnych do własnych potrzeb i wymogów, ich relatywizacja. W efekcie stają się one antyzasadami, czymś, co je wypacza i niweczy. Nie mówiąc już o służącej, którą podsuwa synowi, aby się nie „lumpował” i „lampartował” po nocy poza domem. Efektem jest cięża. Pani Dulska ujawnia w tej sprawie swoją przewrotność, obłudę i zło. A kiedy opłaciła wydalenie służącej i „ocaliła” dobre imię domu i syna, mówi znamienne słowa na końcu sztuki: „a teraz będziemy znów żyli po bożemu”.

Wniosek nasuwa się sam: hipokryzja połączona z relatywizmem moralnym idzie z nim w parze, gdyż zwykle są nierozzerwalne. Bo naginanie praw moralnych do okoliczności i własnych potrzeb jest ich łamaniem, ponieważ wieraniem prawd w nich zawartych. Świat dzisiejszy jest światem hipokryzji i relatywizmu. Szczególnie dobrze widać to w świecie polityki i wśród polityków. Hipokryzja triumfuje w stosunkach międzynarodowych, a także w wewnętrznych rozgrywkach pomiędzy politykami z różnych frakcji i partii. W oczy mówi się nieprawdę, kłamie jak z nut, bez mrugnięcia okiem i zająknięcia. Przykładów są setki, jeśli nie tysiące. Obiecuje się wyborcom gruszki na wierzbie, a dorwawszy się do władzy, zapomina o tym z kretesem. Nie ma w Polsce drugiej Japonii, którą obiecywał niegdysiejszy prezydent. Nie ma w Polsce drugiej Irlandii, którą obiecywał dzisiejszy premier. Obiecanki cackanki, a głupiemu radość. Sprawdzają się niektóre ludowe przysłowia, bo z założenia wy-

ciągają wnioski z realiów, a nie z marzeń czy przywidzeń. Wystarczy obejrzeć transmisje z obrad sejmowych komisji śledczych. I zastanowić się, po co w ogóle istnieją, po co powołane zostały do działania. Chyba tylko po to, aby się kompromitować i wskazywać na to, że ich funkcjonowanie nie jest dążeniem do prawdy, a do czegoś wręcz odwrotnego: zagmatwania, stworzenia chaosu i zakopania prawdy gdzieś głęboko. Bo przecież sędzenie we własnej sprawie nigdy do ujawnienia prawdy nie doprowadzi. Jak więc można było powołać na przewodniczących komisji ludzi z własnego kręgu, by sądzić w sprawie swoich kolegów i ich działań korupcyjnych, jak to jest w tzw. komisji hazardowej czy w komisji do zbadania samobójstwa Barbary Blidy? Ośmieszają się panowie przewodniczący tych komisji swoją jawną stronniczością. To jest właśnie hipokryzja i w dodatku nieudawana, bo akceptowana przez większość sejmową. A przecież Sejm jest najwyższym organem władzy ustawodawczej w naszym kraju. To on stanowi prawo. A jeśli jest ono łamane wewnątrz tego organu, to jak można mówić o jakości stanowionego przez niego prawa? Nie ma się co dziwić, że w rankingach poparcia dla różnych instytucji państwowych Sejm ma tak niskie notowania.

Hipokryzja ma wiele twarzy, z hipokryzją spotykamy się na co dzień, towarzyszy ona naszemu życiu, przejmujemy ją od innych i sami stosujemy w swoim postępowaniu. Hipokryzja jest jak choroba zakaźna, którą trzeba leczyć odpowiednimi lekarstwami. A najlepszym (i jedynym, jak się wydaje) lekarstwem na jej zwalczanie jest po prostu PRZESTRZEGANIE DEKALOGU. A to tak niewiele!

Przemek



Kosmiczne brombowanie

Brombowania to cykl spotkań okololiterackich prowadzonych przeważnie w filii 36 Miejskiej Biblioteki Publicznej, zwykle powtarzanych później w innych miejscach, domach kultury, świetlicach czy przedszkolach, podczas których dzieci przychodzące wraz z rodzicami przekonują się, że w bibliotece nie tylko wypożyczają się książki. To miejsce, gdzie można posłuchać czytanych przez mnie bajek i opowieści, a także pobawić się doskonale.

Bromba, bohaterka książek Macieja Wojtyzki, jest patronką serwisu o książkach dziecięcych i młodzieżowych Bromba.pl, pod egidą którego organizowane są nasze spotkania, od jej imienia powstała też ich nazwa.



dziadek Tapat i Tapatika, podczas wyprawy na wielką górę Arunczumalaj, odnalazł starą księgę, z której wyczytał, że być może Ziemia jest kolebką Tapatików, a one same pocho-

się nam to zobrazować za pomocą balonika. A potem zrobiliśmy sobie żywy układ planetarny – jeden z tatusiów był Słońcem, a dzieci-planety krążyły wokół niego – nareszcie łatwiej było sobie wyobrazić jak to naprawdę wygląda.



„Kosmiczna heca, czyli wakacje z Zielonym” autorstwa Ewy Barańskiej, to książka dla czytelników nieco starszych niż przedszkolaki, ale i im podobał się przeczytany fragment – niesamowite jest ukrywanie przybysza z innej planety w domu ciotki podczas wakacji! Po niemałej dawce emocji przeszliśmy do wizualizowania kosmity, którego dzieci, podzielone na trzy grupy, rysowały na wielkich arkuszach papieru. Każda grupa pracowała nad inną częścią, zaś po złączeniu głowy, tułowia i nóg okazało się, że wygląda... imponująco!

A’propos kosmicznych hec – „Heca nie z tej Ziemi” Marcina Pałasa to kolejna warta polecenia książka, którą czytaliśmy na tym brombowaniu. Gutek, wrocławianin, pewnego dnia natknął się w swoim ogródku na ni mniej, ni więcej – kosmitę. Właściwie statek, z którego po jakimś czasie wyszedł Dumpi. Dumpi miał na imię zupełnie inaczej, ale – słowo daję – nie da się tego powtórzyć. Spotkanie Gutka i ufoludka obfitowało w tyle zabawnych historii, że przy czytaniu pękaliśmy ze śmiechu – nawet rodzice się zasłuchali! Ale to w zasadzie nic dziwnego – nasz, wrocławski czyli, Marcin Pałasz słynie z tego, że jego książek nie da się czytać spokojnie – każda strona budzi uśmiech.

Obiecałam dzieciom, że pokażę im kosmitę i słowa dotrzymałam – był raczej niewielki, takie kosmiczne dziecko właściwie, i spał sobie smacznie podczas prezentacji, ale chyba wszystkim się podobał. Potem i brombowicze postanowili odpocząć i ułożyli się wygodnie na dywanie. Każdy zaopatrzony w lunetę wpatrywał się w niebo i opowiadał, co widzi na swojej planecie – były barwne i pełne najdziwniejszych stworzeń i roślin, znajdowało się na nich co tylko kto chciał.

Szybko minęło półtorej godziny – nie zdążyliśmy poczytać o Jerzym, o profesorze Pałyczcu i o Muminkach, ale nic straconego – zawsze można poprosić rodziców, żeby nam te książki wypożyczyli.



Brombowicze w wieku od pięciu do dziesięciu lat (choć dobrze bawią się z nami także niektóre młodszaki, ale i poważni uczniowie klas czwartych i piątych) za każdym razem wcielają się w inne postacie, przeżywając przygody pirackie, smakowite, straszliwe czy królewskie. Podczas ostatniego Brombowania okazało się, że zupełnie spora grupa dzieci przyjechała do biblioteki przy Żeromskiego z Pawłowic – spotkałam się nawet z kilkoma osobami poznanymi niedawno na „Świecie Matematyki Przedszkolaka”.

A bawiliśmy się kosmicznie! Kosmiczne Brombowanie rozpoczęło się od zrobienia własnego nieba – część dzieci przyniosła ze sobą, inne na miejscu wycinały gwiazdy i planety – przykleiliśmy je potem na arkusz granatowego papieru, środkiem którego biegła Mleczna Droga (później można było się dowiedzieć skąd wzięła się jej nazwa). I przyszedł czas na zapoznanie się z Tapatikami. Istoty te mieszkają na Tapatii, błękitnej planecie, nieco podobnej do Ziemi, różniące się w zasadzie tylko tym, że ma dwa księżyce, za to nie ma na niej ani jednego morza. Tik,

dzia od ludzi. Postanowił więc to sprawdzić i zorganizował eskapadę, na którą zabrał żonę i wnuki. Potem okazało się, że załapał się z nimi pasażer na gapę, ale o tym już każdy będzie mógł sam przeczytać w „Wyprawie Tapatików” Marty Tomaszewskiej. Tu dodam, że dostępne są w bibliotekach i na aukcjach internetowych różne wydania czteroczęściowego cyklu o Tapatikach, z których najpiękniejsze są z ilustracjami Józefa Wilkononia – taką właśnie książkę wygrał jeden z młodych pawłowiczów, Pawełek M., w brombowym konkursie. A dla chętnych słuchaczy polecam „Wyprawę Tapatików” w postaci słuchowiska (bajki-grajki.pl).

Czy ktoś słyszał o kosmicznych fasolkach? Są maleńkie i srebrzyste, a każda kryje w sobie pytanie dotyczące spraw ogólnogalaktycznych. Zatem porozmawialiśmy sobie o tym dlaczego Księżyc świeci, czemu w kosmosie trzeba mieć specjalny skafander, dlaczego jabłko spada na ziemię, jak nazywa się nasz najsłynniejszy wrocławski kosmonauta, dlaczego rakieta lata szybko i wysoko – udało



„Jerzy i tajny klucz do Wszechświata” to książka warta polecenia nie tylko ze względu na wątki kosmologiczne – znajdziemy tam również trochę ekologii, a przede wszystkim prawdziwych kłopotów, bo, jak wiadomo, starsi koledzy potrafią młodszym uprzykrzyć życie w szkole... Autorem jest prof. Stephen Hawking, amerykański fizyk teoretyczny, autor wielu publikacji, z których „Jerzy...” to pierwsza książka napisana dla młodzieży. Powstała we współpracy z jego córką Lucy, ponieważ sam Hawking choruje na stwardnienie rozsiane i jest unieruchomiony na wózku. To, swoją drogą, nie przeszkodziło mu w zeszłym roku wziąć udział w locie zorganizowanym przez Zero Gravity Corporation, podczas którego doświadczył stanu nieważkości. Profesor jest jednym z największych autorytetów na świecie w dziedzinie fizyki, więc jego książka jest nie tylko beletrystycznie interesująca, ale znajdujemy w niej wielką dawkę wiedzy, dzięki której nauki ściśle stają się czymś zna-

nym i przyjaznym, a przy okazji, aby całość zrozumieć, nie trzeba sięgać po encyklopedię – wszystko, co potrzeba znajdujemy w książce. Jeśli jeszcze dodać do tego świetną edycję i ilustracje wzbogacone o fantastyczne zdjęcia na bardzo dobrej jakości papierze, pozycja ta staje się właściwie niezbędna w każdej bibliotece – również domowej.

Naukowcem z innego końca świata, który również dał się poznać jako pisarz dla młodzieży, jest Jurij Tomin (wł. Jurij Kokosz 1929-1997), Rosjanin. Swoją edukację zaczął od szkoły morskiej, po czym okazało się, że bardziej interesuje go coś zupełnie innego, więc ukończył geofizykę na Uniwersytecie Leningradzkim. Pierwszą publikację tego autora można było znaleźć w czasopiśmie dla młodzieży, potem zaczął pisać powieści. O ile początkowo były zupełnie realistyczne, potem odnalazł się znakomicie w fantastyce, która dzięki jego wykształceniu jawiła się czytelnikom zupełnie wiarygodnie, szczególnie, że ubarwiał powieści dowcipnymi epizodami, czasem jedno zdanie świetnie i zabawnie charakteryzowało postaci, czy zwyczajnie, codzienne życie zwykłych ludzi, często pełne absurdów. „Karuzele nad miastem” to powieść, która poznałam w dzieciństwie i do dziś chętnie po nią sięgam. W cichym, spokojnym miasteczku Kulemińsku, nauczyciel fizyki Aleksy Pałycz i jego uczeń Boris, podczas z jednego z doświadczeń powodują śpięcie. Z małej iskiereczki na stole w pracowni pojawia się... niemowlę. Dziecko, jak się okazuje, potrafi mówić, a jego wiedza jest o wiele większa, niż u rówieśników. Skąd wziął się

lekkobłąkitny chłopiec? Co z nim zrobić, by nie wzbudzać sensacji w sennym miasteczku i nie burzyć domowego spokoju w rodzinie profesora Pałycza? Zachęcam gorąco do „Karuzeli nad miastem”, a także do kolejnej części przygód przybysza z innej planety „A, B, C, D i reszta”.



Mam nadzieję, że w tym roku szkolnym uda się nam jeszcze raz spotkać – na czerwcowym Brombowaniu. Ponownie zapraszam serdecznie dzieci z Pawłowic, z którymi naprawdę świetnie można się bawić!

Agnieszka Gil

Przyjaciół psa

Zanim zdecydujemy się na przygarnięcie jednego z braci mniejszych, warto zorientować się, jakie obowiązki spoczywają na właścicielach psów. I trzeba tu sobie jasno powiedzieć, że są to właściwie głównie obowiązki, bez przywilejów. Ważne jest, by się z nimi zapoznać, aby uniknąć w przyszłości kłopotów, waśni z sąsiadami, a nawet niebezpieczeństw grożących naszym pupilom. Pierwszą sprawą, którą należy zrobić, jest zarejestrowanie psa i oznakowanie go w sposób umożliwiający identyfikację (czip elektroniczny)

Podstawowym obowiązkiem właściciela jest nadzór nad psem i ponoszenie pełnej odpowiedzialności za to, co zwierzę robi, szczególnie jeśli dotyczy to wyrządzanych przez niego szkód. Nie jest argumentem odciażającym np. to, że nie wiemy, gdzie nasz pies teraz jest, czy w jaki sposób wydostał się z naszego podwórka – właściciel musi w taki sposób zabezpieczyć ogrodzenie, furtkę, by zwierzę nie miało możliwości się wydostać i to nie tylko dlatego, że jego pies może kogoś przestraszyć czy pogryźć, ale i sam może np. ulec wypadkowi, skoro biega bez opieki. Właściciel musi dopilnować również, aby zwierzę nie przeszkadzało innym hałasując. Niedopuszczalne jest również, by

pies pozostawiany był na długie godziny sam i szczekał bez przerwy, bądź by jego legowisko lub boks były brudne i zaniedbane.

Jeśli pies wyprowadzany jest poza teren naszego domu – robić to powinny wyłącznie osoby będące w stanie kontrolować jego zachowanie, a więc nie mogą to być małe dzieci. Musi mieć smycz, a w przypadku, gdy jest psem średniej wielkości, dużym lub rasy uznanej za agresywną, konieczny jest kaganiec. Tu warto dodać, że dotyczy to każdego psa, by nie doszło do sytuacji, w której jeden ma kaganiec, a inny nie i ten drugi może zrobić pierwszemu krzywdę, co zdarza się w przypadku nieodpowiedzialnych właścicieli. Pamiętajmy też o tym, że pies chłodzi się poprzez dyszenie, więc kaganiec skórzany uniemożliwiający mu otwarcie pyska powoduje męczenie się zwierzęcia, szczególnie gdy jest zmęczony bieganiną lub w upalne dni. Zabronione jest szczucie psem człowieka – podlega to karze nagany i mandatem do 1.000 złotych. Uwolnić ze smyczy można psa jedynie na terenie mało uczęszczanym przez ludzi. Obowiązuje bezwzględny zakaz wprowadzania psów w miście na tereny budynków użyteczności publicznej, ośrodków szkolno-wychowawczych, placów zabaw dla dzieci, kąpielisk miejskich i do fontann..

W każdej sytuacji właściciel podlega obowiązkowi sprzątnięcia nieczystości po psie pod karą mandatu w wysokości 100-500 złotych. Każdy

powinien być zabezpieczony i mieć ze sobą zestaw do sprzątnięcia. Jeśli w okolicy znajdują się specjalne kubły na psie odchody, tym lepiej. Zadaniem rodziców jest uczyć dzieci, że sprzątnięcie po psie nie jest ujmą czy sprawą wstydliwą, ale czymś zupełnie normalnym, co każdy odpowiedzialny właściciel powinien robić.

Szczegóły dotyczące obowiązków właścicieli psów można znaleźć w Uchwale NR XXXII/1089/09 Rady Miejskiej Wrocławia z dnia 19 marca 2009r.

Kolejną ważną sprawą dotyczącą opieki nad czworonożnymi przyjaciółmi ludzi są obowiązkowe szczepienia ochronne. Na terenie całej Polski wszystkie psy muszą być zaszczepione przeciwko wściekliznie – należy to zrobić najpóźniej w 30 dniu po ukończeniu przez psa trzeciego miesiąca życia, a szczepienie należy powtarzać każdego roku. Właściciel psa musi posiadać zaświadczenie o szczepieniu, co również jest wpisane do rejestru przez urzędowego lekarza weterynarii. Szczepienia te są szczególnie ważne z uwagi na pojawiające się ogniska wścieklizny – w 2003 roku na terenie województwa Dolnośląskiego było aż 17 czynnych ognisk. Uchylenie się od obowiązku szczepienia psa przeciwko wściekliznie podlega karze grzywny, a nawet aresztu lub ograniczenia wolności (art. 85 ust. 1, par. 8).

Właściciele mają głównie obowiązki, zwierzęta zaś mają swoje prawa, które w zgodzie z

przepisami, ale przede wszystkim sumieniem, musimy respektować. Dotyczy to zwykłego, codziennego życia ze zwierzętami w naszych domach, czy na naszych podwórkach, żywienia, zapewnienia opieki i bezpieczeństwa. Nawet w sytuacjach, w których czasem nie myślimy o przepisach, one obowiązują. Bo czy pamiętamy o tym, że przewóz zwierząt musi odbywać się w specjalnych warunkach, a np. w przypadku suczek ciężarnych nie wolno ich przewozić w czasie ostatniej fazy przed porodem (ok. 10% trwania ciąży) aż do 48 godzin po nim?

Światowa Deklaracja Praw Zwierząt, uchwalona przez UNESCO w dniu 15.10.1978 r. w Paryżu mówi między innymi, że:

– Człowiek, jako gatunek zwierzęcy, nie może rościć sobie prawa do tępienia innych zwierząt ani do ich niehumanitarnego wyzyskiwania. Ma natomiast obowiązek wykorzystania całej swej wiedzy dla dobra zwierząt.

– Żadne zwierzę nie może być przedmiotem maltretowania i aktów okrucieństwa. Jeśli okaże się, że śmierć zwierzęcia jest konieczna, należy uśmiercić je szybko, nie narażając na ból i trwogę.

– Każde zwierzę, które człowiek wybrał na swego towarzysza, ma prawo żyć tak długo, jak pozwala na to jego gatunkowi natura. Porzucenie zwierzęcia jest aktem okrutnym i nieczynnym.

– Żadne zwierzę nie może być traktowane jako zabawka dla człowieka.

– Każdy akt, prowadzący do zabicia zwierzęcia bez koniecznej potrzeby, jest morderem, czyli zbrodnią przeciw życiu.

Agnieszka Gil



fol. Sławek Siedlecki

Czy twoje dziecko ma kontakt z narkotykami?

W poprzednim numerze zapowiadaliśmy artykuł, w którym przybliżymy nieco temat możliwości rozpoznania, czy nasze dzieci mają kontakt z narkotykami. Wiązało się to z tekstem dotyczącym sprzątania wokół jeziora – znaleziono wówczas wiele plastikowych woreczków. Nie budzi to dobrych skojarzeń, ponieważ tego typu opakowania często używane są do przechowywania narkotyków.

O zażywaniu narkotyków przez dziecko mogą świadczyć sygnały płynące od niego, dotyczące różnych zachowań, wyglądu i przedmiotów, które można znaleźć przy nim lub w jego otoczeniu. Nie zawsze każda z tych rzeczy osobno świadczy o zażywaniu przez dziecko narkotyków, niektóre powinny skłonić nas do wykonania zwykłych badań lekarskich, ale już kilka z nich jednocześnie może i powinno być sygnałem do interwencji.

Jednym z pierwszych objawów, które można obserwować, są zmiany w wyglądzie. Inny niż dotychczas sposób ubierania się (radikalna zmiana stylu, bądź brak zainteresowania higieną i wyglądem, który staje się niechlujny), dziwny, słodkawy zapach docierający z jego włosów i ubrania, a także z oddechu, gwałtowny wzrost masy ciała lub przeciwnie – nagłe schudnięcie, długotrwały katar i krwawienia z nosa. Bardziej wyraźne symptomy to przekrwione oczy ze źrenicami zwięzonymi bądź nadmiernie rozszerzonymi, które nie reagują na światło, bełkotliwa mowa, zaburzenia pamięci i trudności z porozumieniem, sińce, ślady po ukłuciach na kończynach i krew na ubraniach.

Nie tylko w wyglądzie – również w zachowaniu osoby mającej kontakt z narkotykami można dopatrzeć się zmian. To przede wszystkim porzucenie dotychczasowych zainteresowań, izolowanie się od rodziny i dotychczasowych znajomych, zamykanie swojego pokoju na klucz, podkreślanie chęci odcięcia się od innych domowników i unikanie rozmów. Z kolei pokój często jest wietrzony, dziecko może używać też odświeżaczy do powietrza albo kadzidełek, aby pozbyć się zapachu palonych papierosów lub zioł. Może się zdarzyć, że dziecko zmienia znajomych, szczególnie na starszych od siebie, prowadzi krótkie rozmowy telefoniczne, dbając, by nie zostać usłyszane, zaczyna później wra-

cać do domu, nagle z niego wychodzić, nawet na krótko. Zaczyna kłamać, próbuje łamać obowiązujące dotąd zasady, wynosić z domu różne wartościowe przedmioty albo pieniądze nienależące do niego. Zaczyna zgłaszać drobne, powtarzające się (rzekome) kradzieże w szkole – tam też zaczynają się problemy w postaci wagarów, obniżenia poziomu nauki, konfliktów z nauczycielami i innymi uczniami. Dziecko może mieć problemy z koncentracją, zmienne nastroje, zrobić się przewrażliwione w przypadku niewielkiej nawet krytyki lub porażki.

Do przedmiotów, które można znaleźć przy dziecku mającym kontakt z narkotykami, należą niewielkie foliowe torebki z tzw. struną, służące do przechowywania tabletek, proszku, kryształków albo suszu, przypalona łyżka i folia aluminiowa, lufki lub fajki, bibułka do samodzielnego skręcania papierosów, tabletki w różnych kolorach z wytłoczonymi wzorami, znaczki przypominające pocztowe nasączone narkotykiem, leki, opakowania (worki, tubki, słoiki) z klejem, strzykawki, igły, krople do oczu, choć zgodnie z wiedzą rodziców i lekarza nie powinno ich stosować. Także zapalniczka – ta może świadczyć również, że dziecko pali papierosy, co również może mieć poważne konsekwencje, po pierwsze uzależnić, po drugie jest ułatwieniem do sięgnięcia po narkotyki.

Jest bardzo mało prawdopodobne, że wszystkie wymienione wyżej objawy wystąpią równocześnie lub w ogóle – najczęściej pojawia się tylko kilka z nich w tym samym czasie, co może wskazywać na zażywanie narkotyków. Jednak im większe uzależnienie, tym trudniej dziecku jest je kryć i wskutek utraty kontroli nad braniem środków odurzających objawy są coraz bardziej widoczne. Trzeba reagować zanim dojdzie do przedawkowania i śmierci.

Jednym z „domowych” sposobów sprawdzenia, czy nasze dziecko ma kontakt z narkotykami, jest tzw. test oczny. Polega on na samodzielnej obserwacji oczu dziecka. W zwykłych warunkach, przy świetle dziennym, pierwszymi sygnałami mogącymi świadczyć o tym, że dzieje się coś złego, mogą być: nadmierne zwięzienie źrenicy (kiedy jej średnica ma poniżej 3 mm) lub jej zbyt duże rozszerzenie (gdy jej średnica osiąga ponad 6 mm), zaczerwienienie

powiek, łzawienie, opadanie powieki. Sprawdzianem może być też obserwacja oczopląsu i zbieżności oczu – należy poruszać palcem przed twarzą dziecka, po czym zatrzymać go na kilka sekund. Poruszanie się gałek ocznych, ich drżenie przy patrzeniu na nieruchomy palec, świadczą o nieprawidłowości. Również niepokojącym sygnałem jest niemożność śledzenia ruchu palca obydwoma oczami od odległości ok. 15-20 cm do czubka nosa. Można również sprawdzić reakcję oczu pod wpływem oświetlenia – kierujemy strumień światła kolejno na każde oko i jeśli źrenice reagują zbyt powoli, może to znaczyć, że coś jest nie w porządku.

Jak reagować w konkretnych przypadkach? Przede wszystkim nie można pozwolić dziecku na izolowanie się, unikanie konfrontacji. Należy w miarę możliwości zbliżyć się do niego, spróbować dowiedzieć się o przyczynie oddalania się od rodziny albo przyjaciół – czasem powodem są nowi znajomi, którzy wprowadzają dziecko w świat narkotyków, nieraz dla odmiany ci dotychczasowi próbują, więc dziecko słusznie się od nich odsuwa. Mieć kontakt ze szkołą, wiedzieć jak wygląda sprawa obecności na lekcjach, by jak najszybciej zorientować się, że z nastolatkiem źle się dzieje. Jeśli telefon komórkowy, bez którego zwykle dziecko się nie rusza, nagle „zginie”, może to być również oznaką chęci unikania kontroli – tę kwestię również należy wyjaśnić, zaopatrzyć dziecko w nowy aparat, by był z nim kontakt.

Ale najważniejsze, to zapobieganie powstawaniu sytuacji, w których nastolatek będzie chciał sięgnąć po narkotyki – znać środowisko, w którym się obraca, nie pozwalać na nudę (to bardzo częsta przyczyna, dla której młodzież ma ochotę spróbować czegoś innego, nawet niebezpiecznego, bez względu na konsekwencje) oferując niekoniecznie lekcje śpiewu czy lepienia z gliny, ale coś, co naprawdę go zainteresuje, doceniać i motywować swoje dziecko, być szczerym, wspierać, by wiedziało, że może na rodzicach polegać, wykazać się choćby minimum zaufania – podejrzliwość, szperanie po kieszeniach i ataki „na wszelki wypadek” to najprostsza droga tego, by dziecko straciło zaufanie do Ciebie.

Agnieszka Gil

Pozegnanie ofiar katastrofy

Miesiąc temu, w kwietniu, żegnaliśmy ofiary katastrofy samolotu, który rozbił się pod Smoleńskiem. Był to bardzo smutny i trudny czas, ale trzeba przyznać, że podczas żałoby społeczeństwo polskie zachowało się bardzo dobrze. (Gorzej było i jest nadal z rządem, tak zwanymi elitami i tak zwanymi intelektualistami, ale to temat na odrębny artykuł, bowiem wymaga przeprowadzenia szerokiej analizy przyczyn tych skandalicznych zachowań, które łamią podstawowe zasady demokracji).

Warszawa

Właściwie już chwilę po tym, kiedy media podały tę straszną informację, ludzie samoistnie zaczęli przychodzić pod Pałac Prezydencki, żeby oddać hołd Lechowi i Marii Kaczyńskim, jak i wszystkim innym ofiarom. Zapalano znicze, składano kwiaty, laurki i kartki z przeprosinami i wyrazami szacunku. Przychodzili zwolennicy różnych opcji politycznych, żeby oddać hołd najważniejszej osobie w państwie – prezydentowi. Okazało się niezbitcie, że mimo usilnych starań premiera Tuska i polityków PO, w oczach Polaków nie udało się zdezwauować rangi, powagi i statusu tego wysokiego urzędu. Okazało się, że w odczuciach większości pełnienie urzędu prezydenta nie sprowadza się li tylko do pilnowania zyrandola i czerwonego dywanu, jak miał się wyrazić Tusk. Okazało się, że mimo zmasowanych obelg rzucanych przez czołowych harcówników PO – np. Palikota, Niesiołowskiego, Bartoszewskiego, Kutza – pod adresem prezydenta Kaczyńskiego i jego Małżonki ludzie dostrzegli wielkość tej prezydentury. Bardzo wiele osób podkreślało, że nie głosowało na Kaczyńskiego, ale dopiero w obliczu tragedii zdało sobie sprawę z tego, jak bardzo zafałszowany i niesprawiedliwy jego wizerunek obowiązywał w mediach i jak bardzo oni sami dali się temu zwieść.

Przez kilka dni ludzie stali w kilkukilometrowej kolejce, aby przez chwilę stanąć przed trumnami pary prezydenckiej i ich współpracowników. Przychodzili mieszkańcy Warszawy, przyjeżdżali ludzie z całej Polski, bardzo często z małymi dziećmi, nauczyciele przyprawiali uczniów, związkowcy z „Solidarności” zaciągali warty honorowe. Mimo deszczu, zimna, niewygody podróży, kilkunastogodzinnego stania, wśród ludzi panowała atmosfera zyczliwości, otwartości i powagi. Mnie uderzył ład i porządek oraz dyscyplina: nikt nie narzekał, nikt się nie przepychał, wszyscy stosowali się do zaleceń służby porządkowej, która w głównej mierze składała się z harcerzy i strzelców – członków paramilitarnej organizacji młodzieżowej nawiązującej do tradycji Drużyn Strzeleckich. Muszę przyznać, że wszyscy oni dokładali wszelkich starań, aby

jak najwięcej ludzi mogło oddać hołd parze prezydenckiej i ministrom jego kancelarii. W rozmowie z nimi dowiedziałam się, że pełnią służbę po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt godzin z krótką przerwą na sen, że sami się zorganizowali, a dopiero później dołączyły do nich służby miejskie i policja. Panował spokój, a ci, którzy wychodzili z Pałacu, podkreślali, że są szczęśliwi z dobrze spełnionego obowiązku. Przyszli z poczucia moralnego obowiązku, z potrzeby serca, żeby zmanifestować dumę z bycia Polakiem i szacunek do wartości takich, jak patriotyzm, poczucie obowiązku obywatelskiego, odpowiedzialność za swoje państwo. Wszyscy, z którymi rozmawiałam, podkreślali, że w obliczu tej niewyobraźalnej tragedii znowu poczuli się Polakami i że tak łatwo nie dadzą się ponownie zatłamsić. Ludzie czasem też udzielali wywiadów różnym mediom. Nie chcieli jedynie rozmawiać z dziennikarzami reprezentującymi tvn.



Kraków

Uroczystości pogrzebowe Lecha i Marii Kaczyńskich rozpoczęły się w Warszawie, ale zakończyły w Krakowie, mimo niechlubnych protestów pseudo elity krakowskiej z reżyserem i noblistką na czele. Nie mogli zrozumieć – i do dzisiaj do nich to nie dotarło – że pęk balon wirtualnej rzeczywistości z takim oddaniem przez nich nadmuchiwany. Sekretarz noblistki publicznie dał do zrozumienia, że prawdziwy Kraków nie weźmie udziału w pogrzebie i w zasadzie ulice Krakowa będą puste. No może co najwyżej znajdą się tam Polacy drugiej kategorii. Tymczasem do Krakowa zjechały tłumy ludzi, aby przeżywać tę smutną uroczystość razem z myślącymi podobnie, we wspólnocie. Byli tam reprezentanci wszystkich grup zawodowych i społecznych, z górnikami, stoczniovcami i góralami włącznie. Było bardzo dużo młodzieży i rodzin z małymi dziećmi. Przyjechali z poczucia obowiązku patriotycznego, z potrzeby serca. Były też rzesze harcerzy i strzelców. Wzruszający wręcz był widok ich dziecięcych buzi, szczerych, otwartych, kiedy z oddaniem służyli pomocą, obsługiwali punkty sanitarne, pomagali starszym ludziom, roznosili wodę itd.

Ludzie poświęcili swój czas, pieniądze i narazili się na niewygody, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze jednak było, żeby być. W ten sposób obnażyło się kłamstwo medialne i ludzie zorientowali się, w jak dużym stopniu byli manipulowani. Okazało się, że jesteśmy inni. Podobnie jak prezydent Lech Kaczyński chcemy być dumni ze swego państwa, z bycia Polakiem, że nie uważamy się za zaścianek Europy, że takie wartości jak prawda, religia, honor, ojczyzna, duma i tożsamość narodowa, mają dla nas fundamentalne znaczenie. Zachowanie się ludzi podczas mszy żałobnej i ich reakcja na przemówienia była symptomatyczna. Z ogromną aprobatą spotkało się wystąpienie Janusza Śniadka, natomiast Bronisława Komorowskiego nieomal z dezaprobatą. Zostało odebrane jako nie a'propos, jako jawny ukłon w stronę Rosji i w dodatku nazbyt wiernopoddańczy. Ludzie zwracali uwagę na to, że przecież była to msza św., a nie wiec polityczny. Zresztą w rozmowach po zakończeniu uroczystości podkreślali, że Komorowski zbyt szybko wszedł w rolę prezydenta i wiele rzeczy niewygodnych dla niego i Tuska usiłuje zamieść pod dywan, a nie powinien. Nie ma do tego prawa. Pełni tylko czasowo obowiązki prezydenta, bo tak stanowi Konstytucja.

W Krakowie, podobnie jak w Warszawie, uczestnicy pogrzebu zachowywali się z godnością, mimo nielicznych prób zakłócenia tej uroczystości. Niesamowite wrażenie robiła ogromna ilość symboli narodowych, transparentów, flag polskich przepasanych kirem i atmosfera między ludźmi. Uderzyła mnie wypowiedź studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, wydziału prawa, którzy byli zaskoczeni tym, jak bardzo na ich poglądy wpływały media. Żalowali, że tak łatwo dali się zmanipulować i dopiero teraz zobaczyli prezydenta takim, jakim był. Opowiadali też o tym, że wcześniej wstyd było się przyznać do sympatii dla Lecha Kaczyńskiego (profesora prawa!), ponieważ groziło to ostracyzmem towarzyskim. Teraz ich myślenie uległo przewartościowaniu. Jednak ta tragedia przyniosła jakieś pozytywne treści, dopadła nas ważna refleksja na temat chociażby patriotyzmu, którego w zasadzie w szkołach się nie uczy. Dobrze, że przynajmniej wielu rodziców wie, na czym on polega. Poza tym może wreszcie dotarło do nas, jak ważna jest etyka mediów i jak krytycznie należy podchodzić do tego, co głoszą wszelkiej maści „autorytety”. Ludzie uświadomili sobie, że historia jest ważna, ponieważ ważna jest nasza świadomość tożsamości, jak i dopominanie się o nasze miejsce w świecie. Uczestniczyliśmy wspólnie w wielkiej i ważnej lekcji historii. Można powiedzieć, że społeczeństwo zdało egzamin, natomiast rząd, niestety, nie.

Małgorzata Jaszczuk-Surma
Jerzy Szachnowski

Magia muzeów

Tegoroczna Noc Muzeów we Wrocławiu, która miała miejsce w nocy z 15 na 16 maja, była wyjątkowa pod wieloma względami.

W imprezie wzięła udział imponująca liczba muzeów i galerii, a wszystkie te instytucje przygotowały bardzo atrakcyjne programy. Oferta była tak bogata, że nie sposób było odwiedzić wszystkich udostępnionych miejsc. Było ich aż 33, a w każdym mnóstwo interesujących i różnorodnych rzeczy do oglądania. Nie bez powodu hasło przewodnie tegorocznej imprezy brzmiało: „Miasto. Muzea. Magia”. Dlaczego? Noc sama w sobie niesie pewną tajemnicę, niewiadomą, pełną poetyki snów. Już chociażby z tego względu miasto nocą prezentuje się zupełnie inaczej. Architektura, bryły budynków, za dnia „oswojone” i oczywiste, w trakcie nocnego spaceru od muzeum do muzeum czy galerii nabierają innego wyrazu. Odpowiednie iluminacje wydobywają swoiste piękno, które za dnia czasem całkowicie umyka. Poza tym nocą Wrocław żyje w innym rytmie, staje się baśniową krainą kuszącą swoją tajemnicą. Jeśli do tego obrazu dorzucić jeszcze prawdziwe tłumy ludzi wędrujących pomiędzy obiektami – i to w dodatku młodych – wówczas odpowiedź na pytanie staje się jasna i oczywista.

A było co oglądać: Wieżę Matematyczną Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie można obejrzeć 17 południków, bo akurat tamtędy przechodzi. Z tarasu widokowego rozciąga się przepiękna panorama miasta. Swoją drogą polecam to miejsce jako warte odwiedzenia nie tylko z okazji Nocy Muzeów.

W Ratuszu cała ekspozycja była poświęcona Fryderykowi Chopinowi, który w latach 1826-1830 bawił w naszym mieście czterokrotnie. Zaprezentowano płótna Jerzego Dudy-Gracza namalowane pod wpływem muzyki tego genialnego kompozytora.

Mamy Rok Chopinowski, więc takich akcentów było więcej. Arsenal, poza wystawami, przygotował niespodziankę w postaci salwy oddanej przez Bractwo Kurkowe na cześć Fryderyka. W Pałacu Królewskim także pokazano impresje Dudy-Gracza na temat muzyki wielkiego kompozytora, jak i kolekcję medali poświęconych temu wielkiemu artyście. Oprócz tego można było obejrzeć dawne instrumenty muzyczne wyprodukowane w dolnośląskich warsztatach. Oczywiście czynne były również wszystkie wystawy stałe, w tym apartamenty królewskie.

Muzeum Narodowe zdominował Tadeusz Kantor. Można było spotkać się z wybitnym teatrologiem prof. Januszem Deglerem i porozmawiać na temat „Witkacego” Kantora. Były też prezentacje filmów o Kantorze i wiele innych rzeczy. Fotografie Witkacego prezentowało Centrum Sztuki WRO, które przygotowało wystawę pt.: „Psychologizm”. Można było wziąć udział w ciekawym eksperymencie, jakim było zrobienie sobie – wzorem mistrza Witkacego – lustrzanego portretu wielokrotnego.

W Muzeum Poczty i Telekomunikacji 10. Wrocławski Pułk Dowodzenia i 1. Brzeska Brygada Saperów prezentowały współczesny wojskowy sprzęt telekomunikacyjny. Była to prawdziwa gratka, zwłaszcza dla chłopców dużych i małych. Można było połączyć się przez krótkofalówkę i na własne oczy obejrzeć jakim sprzętem posługują się żołnierze pełniący zagraniczne misje. Były też inne atrakcje, jak wykrywacz metali, robot saperski, próba posługiwania się alfabetem flagowym i Morse’a. Oczywiście czynne były również wszystkie wystawy stałe.

Muzeum Architektury połączyło historię z nowoczesnością. Wprowadziło w niesamowity świat neonów PechaKucha, a ponadto przygotowało wystawy fotografii i stuletnią historię Politechniki Wrocławskiej. Można też było obejrzeć film na temat Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej.

Jak zwykle warto było obejrzeć największą ekspozycję przyrodniczą w Polsce, jaką oferuje Muzeum Przyrodnicze oraz w Muzeum Geologicznym dowiedzieć się co nieco na temat kamieni, które przecież stanowią zapis historii geologicznej Ziemi. W Muzeum Człowieka można było zapoznać się z technikami mumifikacji, a w Muzeum Etnograficznym z bogactwem kultur i religii Orientu, by poczuć

się jak w „Baśni z tysiąca i jednej nocy”. Muzeum Mineralogiczne kusilo pięknem i niesamowitą różnorodnością minerałów, które znajdują się w głębi naszej pocziwej planety.

Nie sposób wymienić wszystkiego, bo było jeszcze „nowe” Muzeum Sztuki Medalierskiej, prezentacja przygotowana przez Ossolineum, galeria w mieszkaniu wspaniałego wrocławskiego malarza Eugeniusza Gepperta i jego żony Hanny Krzetuskiej-Geppertowej, archiwum IPN, wiele galerii sztuki. Na koniec muszę koniecznie wspomnieć jeszcze o Muzeum kościoła św. Antoniego z Padwy. Można tu było obejrzeć wystawę ukazującą historię kościoła – obecnie należącego do Zakonu Paulinów – i parafii na tle historii Wrocławia oraz muzeum. W gablotach znajdują się bardzo interesujące eksponaty: naczynia liturgiczne – niektóre pochodzące z XVII wieku, księgi modlitwne, dokumenty i wota. Muszę przyznać, że niesamowite wrażenie robi widok kościoła z poziomu empory okalającej go mniej więcej na ¼ wysokości. Dopiero z tej perspektywy z całą mocą uderza piękno i siła monumentalnego ołtarza głównego, a człowiek staje się mały i mizerny. Wspaniałe doświadczenie!

Małgorzata Jaszczuk-Surma

Świat Matematyki Przedszkolaka

Wiosna sprzyja myśleniu – umysł odżywiony zapachami kwiatów i świeżej ziemi płynącymi z ogrodów ma siłę pracować, niemal słycać, jak łączą się neurony...

Dlatego wiosenne spotkanie „Świata Matematyki Przedszkolaka” zorganizowane przez wydawcę czasopisma dla młodzieży „Świat Matematyki” odbyło się sprawnie i w komfortowych warunkach.

20 kwietnia w pawłowickim Przedszkolu nr 73 przeprowadzone zostały warsztaty matematyczne dla pięcio- i sześciolatków, podczas których dzieci bawiąc się zgłębiały tajniki podstaw matematyki. Poznały tajemniczą pięćdziesiąt, zmierzyły stopami długość sznurka (za każdym razem wynik był inny a sznurek ten sam!), rysowały figury geometryczne, układały fantastyczne figury z patyczków, ćwiczyły rytmikę a także koncentrację – trzeba było



bardzo uważnie wysłuchać wiersza Danuty Wawiłow i Natalii Usenko „Trójkątna Karolina”, żeby podczas lektury dorobić się odpowiedniej liczby pewnego środka płatniczego... Czy można coś kupić za fasolki? Owszem, okazało się, że tak, czyli nie zawsze potrzebne są złote, euro czy franki – porozmawialiśmy sobie o handlu wymiennym i różnych walutach.

Po zajęciach, podczas których okazało się, że dzieci z Przedszkola 73 dysponują dość rozległą wiedzą matematyczną, zrobiły zakupy w postaci fajnych zakładek i cukierków, po czym obiecały, że kiedyś znów zaproszą do siebie „Świat Matematyki” – do zobaczenia!

redakcja „Świata Matematyki”
www.swiatmatematyki.pl



Podziemne poszukiwanie złota

Jest takie miejsce na Dolnym Śląsku, o którym każdy słyszał, ale być może niewielu miało okazję tam pojechać. A to błąd – po ostatniej niedzieli jestem zupełnie przekonana, że każdy powinien zwiedzić kopalnię złota w Złotym Stoku!

Wyprawa w sam raz na jeden dzień, niezależnie od pogody – wszak nawet burza nie przeszkodzi podziemnym spacerom – niedaleko od Wrocławia, ok. półtorej godziny jazdy – kierując się drogą numer 8 na Ząbkowice Śląskie, potem Kamieniec Ząbkowicki i już jesteśmy na miejscu.

Bilety zarezerwowaliśmy wcześniej. Można zrobić to telefonicznie lub przez Internet. Jest szansa dostać się do kopalni „z marszu”, ale wówczas trzeba się liczyć z czekaniem, choć przy ładnej pogodzie to naprawdę nie jest problem. Muszę przyznać, że po przyjeździe byłam zaskoczona. Przy poprzedniej wizycie, kilka lat temu, okolice kopalni były pustawe, stał jeden kram z pierścionkami z „prawdziwego złota” i zabytkowa ciuchcia, a teraz okolica jest kolorowa i zachęcająca, nęci dzieci do zabawy, rodziców do niecierpliwego oczekiwania na wejście. Jedyne, co może wzbudzać dreszcz, to stojący przed wejściem „dupochlastacz” – przyrząd do karania chciwych górników w postaci dybów i specjalnego urządzenia do bicia po... pośladvach. Kupiliśmy zatem bilety – pakiet: zwiedzanie plus atrakcje. Założyliśmy ciepłe i nieprzemakalne kurtki (w kopalni stała temperatura to +7°C) i jazda pod ziemię!



Zwiedzanie rozpoczęliśmy od podziemnego rejsu. Obowiązkowo trzeba było założyć kaski ochronne. I dobrze, bo już przy wsiadaniu do łodzi była szansa na stuknięcie czerepem o sufit, a potem, w czasie przejażdżki, czyhały wystające z sufitu haki. Korytarz, po którym płynęliśmy, to zalany wodą fragment sztolni Gertruda. Kiedy jeszcze można było tam się poruszać suchą nogą, na hakach podwieszane było oświetlenie. Teraz pięknie wyznacza drogę szereg ciepłych, pomarańczowych lampek przeświecających z dna. Przewodnik opowiadał nam różne histo-

rie dotyczące tego miejsca, a zasluchani byli zarówno sześcio- jak i pięćdziesięciolatkowie. Jedną z ciekawostek jest opowieść o przewodniku, który postanowił sprawdzić, czy w podziemnej rzece mogłyby żyć ryby. Wpuścił więc do niej małego karasia i karpia. Przewodnik przypłacił to grzywną za znęcanie się nad zwierzętami (w wodzie jest bardzo dużo zabójczego arsenu) i zwolnieniem z pracy, a rybki... do dziś, czyli już trzy lata, żyją w kopalni. Mieliśmy przyjemność osobiście poznać karpia: w ciemnościach stracił kolor i nieco łuski, ale ma się nieźle. Kiedy świeciliśmy mu w oczy latarką w proteście zmaścił wodę, by ukryć się przed światłem. Nie wiadomo dokładnie czym się żywi. Podobno w tej wodzie mieszkają endemiczne raczki, spotykane jedynie tu, w Złotym Stoku i być może one są pokarmem karpia. Ale raczków nie zobaczyliśmy – największe mają ok. 7 mm długości. Po drodze przepływaliśmy obok mijanki, czyli miejsca, w którym górnicy chronili się przed pociągiem z węglem. Korytarz był na tyle wąski, że nie obyłyby się bez wypadku, więc chowali się w specjalnej jamie. Gdy było ich kilkudziesięciu, sprawa naprawdę bywała trudna. Kiedy łódź zaczęła szorować o dno, był to sygnał, że czas wracać. Odwróciliśmy się więc na ławeczkach w drugą stronę i popłynęliśmy z powrotem. Ale gdyby ktoś nie miał ochoty jeszcze wracać, w kopalni jest możliwość zwiedzania ekstremalnego. Śmiałkowicie w kombinezonach OP1 mogą wysiąść i dalej – oczywiście z przewodnikiem – zwiedzać niedostępne dla zwykłych śmiertelników rejony kopalni. My jednak postanowiliśmy wrócić i dopiero po zejściu na ląd przeczytaliśmy nazwę łodzi na rufie – Titanic! Jednak obyło się bez katastrofy.

Dobrze jest zaplanować wycieczkę tak, by nie czekać zbyt długo między zwiedzaniem a pływaniem. Nam wystarczyło akurat czasu na skorzystanie z toalety (czysta, bezpłatna) i ruszyliśmy za panią przewodniczką w głąb sztolni Gertruda. Jej nazwa wzięła się od imienia żony pewnego górnika, dzielnej kobiety, która pewnego razu, po wielkim zawale w kopalni, podczas którego zginęło czterech górników, ruszyła na poszukiwanie męża. Były to czasy, w których właściciel niewiele sobie robił z życia siły roboczej, a także niespecjalnie zależało mu na ponownym udrożnieniu chodnika, dlatego Gertruda zaopatrzona w żywność i pochodnie zeszła na samodzielne poszukiwania. Nie wróciła, ale nawet po wielu latach, kiedy jakiś górnik zabłądził w labiryntach, zdarzało się, że słyszał kroki. Szedł za nimi, aż wychodził z kopalni. Wierzono, że to duch dobrej Gertrudy wyprowadza zagubionych. Weszliśmy więc do sztolni, a tam od progu powitał nas najprawdziwszy górnik, Bercik, który interesująco i żartobliwie opowiadał o pracy w kopalni, o tym, że była to praca naprawdę ciężka, bo na przykład dzienny odcinek, który udało się wykuć jednemu górnikowi, to było maksymalnie 4 cm! I o sposobach, jakie stosowali, by sobie tę pracę ułatwić. Jednym z nich było wbicie w skałę drewnianego kołka, a jak wiadomo: „jak

kołek w szczelinie poczuje wilgoć, to zaraz pęcznieje”. Dzięki temu nieraz udawało się rozsadzać skały, zamiast je ręcznie kuć.



Pozegnaliśmy Bercika i ruszyliśmy dalej. Szkoda, że bez kasków, bo pomijając kapiącą czasami wodę, zdarzały się miejsca, w których można było o coś uderzyć głową. Ale wrócić nie zamierzał nikt! Dowiedzieliśmy się ile złota wydobyto w kopalni, a także, że najwięcej uzyskano tu arsenu. Poznaliśmy nawet prawdziwego alchemika, który pokazał nam swoją pracownię pełną niezwykłych mikstur, naczyń z dziwnymi płynami, bulgoczącymi eliksirami i tajemniczymi stworzeniami w słojach. Obejrzeliliśmy też skarbiec – niesamowite miejsce, pełne sztabek złota i wyrobów z tego kruszcu. Czy ktoś przypuszczał, że złoto jest tak plastyczne, że z zaledwie jednego grama można zrobić płachtę o wymiarach ok. 1 m²? Niesamowite. Mój sześciolatek, za namową przewodniczki, sięgnął po jakiś złoty wyrób, a wtedy nagle rozległ się głośny dźwięk! Alarm zadziałał prawidłowo! Poza tym skarbcza pilnuje gnom – można się było naprawdę przestraszyć! Swoją drogą, więcej jest sytuacji, przyprawiających turystów o przyspieszone bicie serca. Należy do nich między innymi „Chodnik Śmierci”. Podobno kiedyś właśnie tutaj karano górników przyłapanych na próbie kradzieży. Zamurowywano im ręce w ścianie i pozostawiano ich tak aż do śmierci. Była to okrutna i straszliwa kara, ale także ostrzeżenie dla innych potencjalnych amatorów cudzego złota. Na ścianach w tym korytarzu znaleziono charakterystyczne ślady materii organicznej, więc być może te historie są prawdziwe. Bo dotychczas tu straszny – coś śmieje się upiornie, kiedy nagle gaśnie światło! Ale tutejszych strażników kopalni nie należy się bać gdyż wyprowadzają zagubionych ze sztolni, a jeśli Gnomowi Szaremu spojrzeć w oczy, wszystkie marzenia nam się spełnią.

Oprócz wysłuchiwanie opowieści, obejrzeliliśmy mnóstwo ciekawych eksponatów: narzędzia, którymi pracowali tutejsi górnicy, tygły i formy do odlewania sztabek złota, a nawet piec hutniczy do wytapiania cennego kruszcu. Do zabawnych ekspozycji należy, niespecjalnie tematycznie związana, ale dość ciekawa, wystawa najróżniejszych płytek, zwożonych tu

przez turystów z całego kraju, czyli Muzeum Przestróg, Uwag i Apeli. To zbiór tabliczek, głównie związanych z bezpieczeństwem i higieną pracy, które niegdyś służyły ostrzeganiu, pouczeniu i apelom w rodzaju: „Nieszczęśliwie wypadki należy niezwłocznie zgłaszać kierownictwu!” czy „Kierowniku, majstrze, brygadzie, czy sprawdziłeś stanowisko pracy swoich ludzi?” oraz „Nie rzucaj młotkiem będąc na rusztowaniu”, a także „Wejście do toalety za okazaniem książeczki zdrowia”.

Po wyjściu z Gertrudy ruszyliśmy w górę, gdzie znajduje się wejście do „Sztolni Czarnej Górnej”. Po drodze minęliśmy największy w Europie park linowy „Skalisko”, pełen przejść linowych i siatkowych, napowietrznych pomostów, ruchomych kładek i zjazdów na linie. Pośród gąszczy lin znajdującego się na kilku hektarach lasu wyznaczona jest również specjalna trasa dla dzieci – jedyny warunek to sięganie wyciągniętymi rękami do wysokości 140 cm. Prawdę mówiąc kolana miękły od samego patrzenia. Ale na pewno kiedyś tu przyjdziemy poprobować swych sił pośród gałęzi drzew. A w Czarnej Górnej czekał na nas kolejny odcinek trasy w głąb góry. Zeszliśmy siedemnastowym szymbem w dół. Było wąsko i stromo, kręciło się nam w głowach jak na karuzeli. Na jednym z „pięter” znajduje się wysoka komora, a w niej przepiękna kaskada wodospadu ponad dwadzieścia metrów pod ziemią! Umiejętnie oświetlony robi naprawdę duże wrażenie, dlatego, nie zważając na głośny szum i pryskające krople, przyglądaliśmy się

mu w zachwycie. Ostatnią atrakcją czekającą na nas w kopalni była jazda Podziemnym Pomarańczowym Tramwajem o imieniu Gacek.



Uważając, by nie wystawiać za okno łokci, ani żadnych kończyn, bo mogłoby się to zakończyć ich utratą, w wielkim pędzie wyjechaliśmy na powierzchnię i na stacji Kopalnia Złota – Główna zakończyliśmy naszą przygodę.

Zakończyliśmy? Jeszcze nie! Trzeba było przecież jeszcze wybrać pamiątkowe monety z herbem i św. Krzysztofem albo Gackiem, do wyboru. Święty Krzysztof, co może zaskakiwać, jest patronem, nie górników, oczywiście, ale poszukiwaczy skarbów, a za takich właśnie mieli się pracownicy kopalni złota. Dlatego też jego figura stoi w Gertrudzie. A Gacek – wesoły nietoperz, jest logo kopalni. Pewnie dlatego, że żyje tam kilka gatunków nietoperzy. Z kieszeniami wypchanymi monetami ruszyliśmy do zbiornika wodnego, gdzie zaopatrzeni w specjalne krążki wypłukiwaliśmy złoto z piasku. Woda była zimna, marzliśmy w ręce, ale

było warto. Każdemu z nas udało się zdobyć pół folki złota! Jeśli nawet było to tylko „złoto głupców”, to przecież nic nie szkodzi. Potem zajrzeliśmy do Muzeum Mineralów, gdzie zgromadzono niemal tysiąc eksponatów związanych się zarówno z górnictwem, jak i z geologią. Są więc narzędzia służące do wydobycia, minerały, odlewy żywych organizmów odcisniętych w skalach. Dla chętnych Złoty Stok ma jeszcze inne atrakcje. Można tu odlać „złotą” sztabkę, albo czerpać papier z drobinami „prawdziwego złota”. Głodni mogą wstąpić do „Karczmy w Starej Kuźni”, ale my ruszyliśmy już w drogę powrotną, nie dając się skusić ani na skoki na batucie, ani na wspinaczkę po ścianie, ani nawet na strzelanie z łuku. Jedno jest pewne – wrócimy tu jeszcze!



tekst Agnieszka Gil
zdjęcia Martyna Gil

Sztuka baletu

Nie należy ona do tych sztuk, które cieszyłyby się specjalną estymą wśród przeciętnego „konsumenta” muzyki i tańca. Bo balet nie może istnieć bez muzyki (innej niż to jest w operze czy w operetce, często zwanej ilustracyjną, bo towarzyszy i wypukla taniec – podstawę widowiska baletowego), jak opera nie może istnieć bez słowa śpiewanego. Nie mówiąc już o ruchu, czyli tańcu, który zastępuje operowe libretto i wyraża dramatyzm wydarzeń dziejących się na scenie.

Opera powstała w renesansie, bo był to powrót do antyku grecko-rzymskiego, a więc między innymi do odrodzenia się zainteresowań wielką tragedią spod znaku Ajschylosa, Sofoklesa czy Eurypidesa. Zastanawiano się, jak była wykonywana, odgrywana na scenie, bo przekazy mówiły o melodeklamacji czy recytacji w określonej melodyce i rytmice, czyli pewnej śpiewności. Zaczęto więc łączyć dramaty z muzyką specjalnie do niego napisaną. Udratyzowane mity greckie i rzymskie stawały się kanwą dla akcji scenicznej, do której pisano muzykę. Na specjalne życzenie władców, przed którymi wykonywano opery (dla nich też je komponowano), dodawano do nich krótkie sceny taneczne, aby uatrakcyjnić i ożywić akcję. Z czasem były one coraz dłuższe (sceny taneczne), aby wyodrębnić się i stać samodzielnymi, tanecznymi widowiskami. Tak powstał balet, który swoją całkowitą integralność sceniczną uzyskał dopiero w XIX wieku. Stał się SZTU-

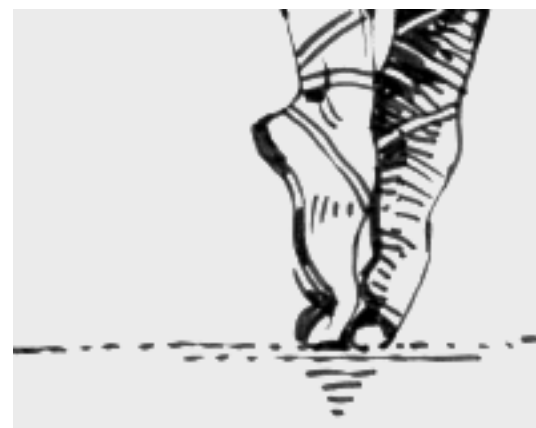
KA, której opiekunką była TERPSYCHORA, jedna z Muz zamieszkujących PARNAS, siedzibę Apollina.

Balet trzeba polubić, pokochać, aby zrozumieć i podziwiać jego piękno. Poznać tajemnice baletu jako harmoniki ruchu, jedynego i niepowtarzalnego zespolenia muzyki i tańca – to odkryć jego wielkość. Umieć podziwiać jego wykonawców, którzy potrzebują często prawie cyrkowej zręczności, aby ukazać sztukę baletowego tańca – to uznać ich za prawdziwych artystów, jakimi, oczywiście, są i osiągają w swej dziedzinie często niebywałe sukcesy światowe. I – co za tym idzie – sławę i mistrzostwo artystyczne, które się podziwia. Jest ona dość krótka, bo bycie primabaleriną czy pierwszym tancerzem wiąże się z niebywałym wysiłkiem fizycznym. Przede wszystkim nóg, ale i całego ciała, co prowadzi do deformacji i licznych kontuzji. Dlatego tancerze baletowi dość wcześnie przechodzą na emeryturę.

Od niedawna AGORA zaczęła wydawać serię baletową, na którą składać się będą klasyczne i współczesne oraz awangardowe balety (w sumie 25 spektakli). Serię otwiera najwspanialszy chyba balet, jakim jest niewątpliwie „JEZIORO ŁABĘDZIE” Piotra Czajkowskiego. W dodatku w doskonałej inscenizacji i wykonaniu Teatru Bolszoi w Moskwie, dziś już klasycznej, bo z 1969 roku. W tym samym wykonaniu obejrzeć można balet „Romeo i Julia” Sergiusza Prokofiewa, oparty na dramacie Williama Szekspira, prawdziwe arcydzieło. Może uda się zadowolić bardziej wybredną widowiskiem, bo oprócz baletów klasycznych („Sylwia” Léo Delibesa, „Gi-

selle” Adolphe’a Adama, „Śpiąca królowna” Piotra Czajkowskiego, „Ognisty ptak” i „Święty wiosny” Igora Strawieńskiego, „Coppelia” Léo Delibesa, „Spartakus” Arama Chaczaturiana, „Dziadek do orzechów” Piotra Czajkowskiego) ukażą się balety współczesne, często awangardowe, np. siedem baletów Davida Parsonsa, balety Alvina Aileya, sześć baletów Hansa van Manena. Będą też takie „ciekawostki” jak baletowe wykonanie opery „Carmen” George’a Bizeta czy „Zemsty nietoperza” Johanna Straussa, „Dzwonnik z Notre Dame” Maurice’a Jarre’a i „Peer Gynt” według Edwarda Griega. Słowem – uczta dla oczu i uszu. Warto zaglądać w soboty do kiosków, aby zobaczyć, jaki nowy balet się właśnie ukazał. Ale to tak trochę na marginesie, bo chciałbym jeszcze parę słów napisać o samym balecie, czy raczej baletach.

Pisałem, że jednym z najpiękniejszych, który należy do żelaznego repertuaru teatrów ba-



letowych, jest „JEZIORO ŁABĘDZIE” Piotra Czajkowskiego. Pomysł napisania tego baletu, podsunął kompozytorowi dyrektor rządowych teatrów moskiewskich Władimir Biegiczew. On też (z Wasilijem Gelcerem) napisał libretto na motywach zaczerpniętych z niemieckiej baśni spisanej przez Hermana Muzeusa. Wątek przemiany dziewcząt w łabędzie i miłości księcia do zaklętej w łabędzia królowny, został następnie przekształcony przez samego kompozytora. Premiera odbyła się 20 lutego 1877 roku. Skończyła się jednak „klapą”, ale utworem zainteresował się Marius Petipa, znakomity choreograf pracujący w Rosji. To w jego choreografii wystawiono „Jezioro Łabędzie” w Teatrze Maryjskim w Petersburgu, zimą 1894 roku. Tym razem spektakl odniósł sukces, szczególnie podobał się akt drugi, zwany białym. Od tego momentu balet szybko zdobył światowy rozgłos. Dodać wypada, że nie tylko „Jezioro Łabędzie” początkowo spotkało się z nieprzychylnym przyjęciem. Dotyczy to choćby „Święta wiosny” Igora Strawieńskiego czy „Carmen” Bizeta, jednej z najczęściej wystawianych oper.

Balety, podobnie jak i opery, najczęściej mają „smutne”, tragicznie kończące się libretta. W światowym repertuarze niewiele jest baletów komicznych. Jednym z nich, a i najświetniejszym przykładem tego typu widowisk, popularnych zwłaszcza w XIX wieku, jest „Coppelia, czyli dziewczyna o szklanych oczach”. Prawdopodobnie nie dotrwałaby do naszych czasów, gdyby nie wartość muzyki, jaką skomponował do niej Léo Delibes. Partytura baletu jest niezwykle barwna i bogata melodycznie. Kompozytor, tworząc balet na poły ludowy, wykorzystał olbrzymie bogactwo tańców ludowych i narodowych. Obok mazurków, walców czy tzw. tańców słowiańskich, mamy i czardasza, i taniec cygański, hiszpańskie bolero i angielską gigę. W muzyce odnajdziemy też sporo znanych melodii. Żona Delibesa była Polką, kompozytor więc dobrze znał polski folklor i choć w formie mocno przetworzonej, wplótł go w partyturę utworu.

O innych utworach napiszę wkrótce, bo sztuka baletu warta jest propagowania. W repertuarze Opery Wrocławskiej mamy kilka baletów, w tym „Jezioro Łabędzie” i „Dziadka do orzechów” Piotra Czajkowskiego. Może powinniśmy się kiedyś wybrać, aby móc podziwiać perfekcyjne widowisko taneczne, jakim jest balet.

K. Bauer

Co łączy powódź z wulkanem?

Na pierwszy rzut oka pytanie może wydawać się niedorzeczne, ale kiedy zastanowimy się nad nim poważnie, okazuje się, że związek ten jest ścisły i nader interesujący. Możemy go sami zbadać i to bez większych trudności.

Akurat tak się zdarzyło, że ostatnio wybuchł islandzki wulkan Eyjafjoell i niebo nad Europą spowiła chmura pyłu, który całkowicie sparaliżował ruch lotniczy. Ale to nie wszystko. Okazuje się, że ta erupcja jest przyczyną ostatnich długotrwałych opadów deszczu skutkujących powodzią, która powoli obejmuje całą Polskę. Meteorolodzy twierdzą, że to nic nowego. Wybuchy największych, tzw. superwulkanów, mogą powodować nawet „zimny nuklearny”. Mniejsze wulkany mogą wpływać na wzrost liczby anomalii pogodowych, które nie wystąpiłyby bez ich erupcji. Jako dowód przytaczają opisy skutków takich zjawisk przyrodniczych począwszy od XVIII wieku. Okazuje się, że zawsze po silnej erupcji wulkanów odnotowywano klęskę nieurodzaju, bo „nie było lata”. Po prostu było zimno i deszczowo. Po wybuchu wulkanu w 1726 r. pył wulkaniczny zasłonił Słońce i nastąpiło oziębienie, padały obfite kwaśne deszcze, a drzewa traciły liście. Skutki te były zauważalne w całej Europie: w Anglii, we Francji, na terenie dzisiejszej Belgii i Holandii, częściowo w Rosji, a nawet w Chinach. Wszędzie odnotowano klęskę nieurodzaju, a w następstwie głód i choroby epidemiczne. W 1815 r. w „ciepłych” stanach USA w czercu i w lipcu były przymrozki. Nie inaczej jest teraz. Po prostu główne gazy emitowane do atmosfery to para wodna, dwutlenek węgla i dwutlenek siarki, który lubi się łączyć z wodą i to właśnie jest przyczyną tych kwaśnych deszczów. Poza tym pył odbija światło słoneczne w dużo większym stopniu niż inne gazy cieplarniane, co powoduje znaczne ochłodzenie.

Skutki te nie muszą pojawiać się natychmiast, mogą być także mocno odległe w czasie. Tak właśnie było w 1992 r., kiedy mieliśmy wyjątkowo deszczowe lato, a erupcja miała miejsce prawie rok wcześniej. Jednak częściej pojawiają się one w krótszym odstępie czasu. I tak „powódź stulecia” w 1997 r. nastąpiła dwa tygodnie po wybuchu wulkanu na wyspie Monserat. Okazało się, że zaledwie dwa tygodnie wystarczyły na to, aby ta ogromna ilość

popiołów i pyłów mogła się rozprzestrzenić praktycznie na całym świecie.

Teraz też mamy powódź. Jak twierdzą meteorolodzy, „winę” za nią w dużym stopniu ponosi erupcja islandzkiego wulkanu Eyjafjoell. Nastąpił fatalny zbieg okoliczności. Po prostu w miesiącach letnich nad Polską pojawiają się nize z Zatoki Genueskiej. Pech chciał, że zbiegły się one w jednym czasie z chłodnym powietrzem polarnomorskim nadciągającym z zachodniej Europy i z opadami spowodowanymi krążącym pyłem wulkanicznym z Islandii.

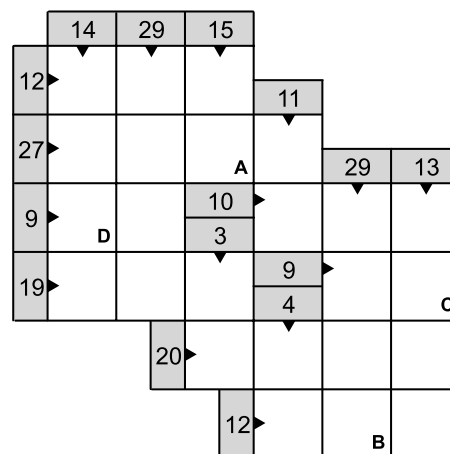
Małgorzata Jaszczuk-Surma



„Panoramiczna” krzyżówka cyfrowa

Liczby znajdujące się w szarych polach są równe sumom cyfr od 1 do 9, które należy wpisać w wolne białe pola zgodnie ze wskazanym przez strzałki kierunkiem, aż do kolejnego szarego pola lub do brzegu diagramu.

W żadnej z tych sum nie może powtórzyć się ta sama cyfra, a więc nie może być na przykład: $16=4+3+6+3$.



Cyfry znajdujące się w polach oznaczonych literami A, B, C i D należy wpisać do poniższych kratek, tworząc hasło – rozwiązanie.

□	□	□	□
A	B	C	D

Każdy, kto na adres redakcji prześle prawidłowe odpowiedzi, otrzyma nagrodę w postaci jednego egzemplarza „Świata Matematyki” – jedynego w Polsce czasopisma popularnonaukowego poświęconego matematyce i adresowanego do młodzieży szkolnej. Odpowiedź i adres należy przesłać e-mailem: konkurs@swiatmatematyki.pl



Mecze Orła Pawłowice

1 mecz w rundzie wiosennej sezonu 2009/2010 (LKS Krzyżanowice vs. Orzeł Pawłowice – 1:4):

Orzeł znów nie miał sobie równych w Krynicznie!

W niedzielę, 28 marca 2010 r., rozegraliśmy pierwszy mecz ligowy w rundzie rewanżowej sezonu 2009/2010. Przeciwnikiem była drużyna LKS Krzyżanowice, która na półmetku rywalizacji zajmowała ósme miejsce w tabeli. Przed meczem faworyt był tylko jeden. A był nim oczywiście zespół prowadzony przez trenera Radosława Jasińskiego. Nikt nie dopuszczał do głowy myśli o podobnym wyniku, jak ten z wrześniowej potyczki. Rewanż udał się doskonale – wygraliśmy 4:1.

Spotkanie zaczęło się od nadzwyczaj szybkiej bramki. Po zamieszczeniu przed polem karnym gospodarzy najszybciej do bezpiecznej piłki dobiegł Krzysztof Oplawski i strzelał po ziemi, tuż przy lewym słupku, pokonał bramkarza Krzyżanowic. Jednak ten gol wcale nie oznaczał, że rywale nie podejmą już walki. Przeciwnie – zostali mocno podrażnieni i chwilę później kilka razy próbowali szczęścia mocnymi, precyzyjnymi strzałami z dystansu, lecz kapitałnymi paradami popisował się bramkarz Orła Pawłowice, Marcin Sikora. Wtedy podrażniony został również honor gości. Trzeci zespół w tabeli wielokrotnie udawał, że uwielbia grę z kontry, czego dowodem była bramka na 2:0. Hubert Podanowski przejął piłkę w środku pola od defensorów i zagrał piłkę do bocznej strefy boiska. Tam na podanie czekał Radosław Skawski, który po chwili dośrodkował piłkę wprost na głowę Dawida Świątka, a temu nie pozostało nic innego, jak skierować piłkę do bramki. Nasz snajper udowodnił, że gra głową nie jest mu obca, gdyż piłka powędrowała wręcz w samo okienko bramki przeciwnika. Rywale nadal liczyli na to, że uda im się w tym meczu urwać punkty przyjeźdnym, jednak kolejna kontra rozwiła ich marzenia. Prostopadle podanie od Huberta Podanowskiego wykorzystał Dawid Świątek i było 3:0. Trudno nie wspomnieć również o identycznej sytuacji, która miała miejsce kilka minut później, z tym wyjątkiem, że tym razem bramka nie padła, a to dlatego, że strzał naszego najlepszego strzelca był daleki od ideału. Do przerwy nie wydarzyłoby się już nic innego, gdyby nie druga żółta, a w konsekwencji czerwona kartka dla Leszka Frydlewicza. Arbiter tego spotkania niewątpliwie polubił pokazywanie żółtych kartoników, których w kilku sytuacjach nie powinien wyciągać. Po przerwie stan piłkarzy w obu drużynach wyrównał się, gdyż piłkarz LKS Krzyżanowice za faul otrzymał standardowo żółtą kartkę, jednak po chwili, za niepotrzebne dyskusje i prawdopodobnie użycie wulgaryzmów pod adresem sędziego (który miał naprawdę dobry słuch), ponownie został ukarany kartką i musiał opuścić boisko. Warunki atmosferyczne co pewien czas robiły się beznadziejne. Padał deszcz, a bardzo silny wiatr potęgował poczucie chłodu oraz przeszkadzał we wznowianiu gry z „piątki”, bo wybita piłka zatrzymywała się wysoko w powietrzu i wracała tuż przed nasze pole karne. Ten fakt wykorzystali przeciwnicy i zdobyli bramkę. Na nic więcej nie było ich jednak stać tego dnia, a kolejny cios zadał im jeszcze debiutujący Marek Masalski, który podwyższył stan meczu na 4:1 po tak długo wyczekiwanej, pierwszej w tym sezonie asyście Ireneusza Augustyniaka.

2 mecz w rundzie wiosennej sezonu 2009/2010 (Sołtysowice Wrocław vs. Orzeł Pawłowice 1:1):

Lekcja pokory.

W niedzielę, 25 kwietnia 2010 r., rozegraliśmy drugi mecz ligowy w rundzie rewanżowej sezonu 2009/2010. Przeciwnikiem była drużyna Sołtysowice Wrocław, która w tabeli jest jedną z najgorszych dru-

żyn. Mimo, iż gospodarzem meczu był nasz rywal, spotkanie odbyło się na naszym boisku. Niestety po słabym meczu zaledwie zremisowaliśmy 1:1. Nasze nadzieje na awans zostały jednak jeszcze zachowane po wypadkach Wratislavii Wrocław (porażka 1:3 z Widawą II Wrocław) i Różanki Wrocław (remis 2:2 z Kolektywem II Radwanice). Drużyna z Sołtysowic długo będzie nam się śniła, bo w dwumeczu odebrała nam w tym sezonie aż pięć punktów... To spotkanie było bardzo słabym widowiskiem. Ciężko dopatrywać się jakichś pozytywow. W grze obu zespołów było sporo chaosu i niedokładności. Rywale nie mieli dogodnych sytuacji strzeleckich. Bramkę zdobyli w pierwszej połowie po zamieszczeniu w naszym polu karnym. Ciężko było nam się otrząsnąć i dlatego do przerwy wynik nie uległ zmianie. Na drugą część meczu wyszliśmy zmotywowani, z wolą walki o korzystny wynik. Po niecałych dziesięciu minutach po dośrodkowaniu z rzutu rożnego bramkę głową zdobył Dawid Świątek i wtedy wydawało się, że wszystko wraca na właściwą drogę. Klarownych sytuacji do zdobycia bramki mieliśmy tego dnia mało, jednak gdybyśmy potrafili je wykorzystać, zbliżylibyśmy się do liderujących w tabeli zespołów. Indywidualnie oraz jako drużyna prezentowaliśmy się źle i dlatego rezultat tego pojedynku nie uległ już zmianie. Ekipa z Sołtysowic była wyraźnie zadowolona z faktu, że kolejny raz odebrała nam ważne punkty.

3 mecz w rundzie wiosennej sezonu 2009/2010 (Orzeł Pawłowice vs. Widawa II Wrocław – 6:0):

Widawa rozbita po świetnej grze!

W niedzielę, 2 maja 2010 r., rozegraliśmy trzeci mecz ligowy w rundzie rewanżowej sezonu 2009/2010. Przeciwnikiem była drużyna Widawy II Wrocław, której ewentualne zwycięstwo w tym meczu premiowało awansem nawet na trzecią pozycję, którą zajmował Orzeł Pawłowice. Jednak tego dnia Gospodarze byli w fenomenalnej dyspozycji, czego potwierdzeniem jest wysoki wynik 6:0. Marzenia Widawy o lepszej pozycji w tabeli zostały rozwiane, a Orzeł nadal czeka na potknięcia Wratislavii i Różanki. Pierwszy raz w roli kapitana zespołu wystąpił Marcin Sikora i z pewnością chciał poprowadzić Orła do niezwykle ważnego zwycięstwa. Mecz mógł zacząć się dla Gospodarzy fantastycznie. Kilkanaście sekund po pierwszym gwizdku pana Krzysztofa Balcerzaka, Hubert Podanowski został sfaulowany z polu karnym Gości. Arbiter bez wahania wskazał na punkt oddalony o jedenaście metrów od bramki naszych rywali, której strzegł dziesięcioletni Tomasz Kapłoński. Do piłki podszedł Paweł Szczypkowski, lecz jego strzał kapitalnie sparował młody golkiper. Pomimo tego niepowodzenia co pewien czas stwarzaliśmy sobie dogodne sytuacje do strzelenia bramki. Co nie udało się w pierwszej minucie spotkania, udało się po około dwudziestu kolejnych minutach. Tomasz Woźniakowski dośrodkował piłkę z rzutu wolnego w pole karne, gdzie świetnym strzałem głową popisał się Marek Masalski i było 1:0. Nasz napór był wyraźny. Często konstruowaliśmy składne akcje ofensywne, przy których brakowało wykończenia w postaci zdobytej bramki. W defensywie staraliśmy się grać niezwykle uważnie i mądrze, dzięki czemu Goście zupełnie nie potrafili zagrozić Marcinowi Sikorze. Do przerwy wynik nie uległ już zmianie. Po przerwie nadal kontrolowaliśmy sytuację na boisku. Kilka minut po rozpoczęciu drugiej połowy swoją drugą bramkę zdobył Marek Masalski, a jego niezwykle silne uderzenie w krótki róg pod poprzeczkę dało nam lepszą pewność siebie oraz jeszcze większy spokój w grze. Widawa nawet nie zdążyła otrząsnąć się po stracie drugiej bramki, kiedy Orzeł Pawłowice kolejny raz udowodnił swoją wyższość. Hubert Podanowski przerzucił piłkę

na prawe skrzydło do Radosława Skawskiego, a ten przepuścił piłkę między nogami bezradnego obrońcy, wbiegł w pole karne i strzałem w długi róg pokonał Kapłońskiego. Tego dnia, to nie był koniec bramek przy ul. Przedwiośnie, bo Gospodarze nie zamierzali rezygnować z dalszych ataków. Paweł Szczypkowski przejął piłkę w defensywie, minął trzech graczy przeciwnej drużyny i kiedy wydawało się, że odda strzał, został brutalnie sfaulowany. Po chwili opuścił boisko, a jego miejsce zajął Maciej Kwolek. Świetne wykonanie rzutu wolnego kolejny raz zupełnie pogubiło naszych przeciwników, co wykorzystał Dawid Świątek podwyższając stan meczu na 4:0. Po chwili znów postanowił przypomnieć o sobie Marek Masalski strzelając gola na 5:0, a w swoich indywidualnych statystykach, kompletując hat-trick'a. W końcówce pojedynku Widawę II Wrocław dobił Dawid Świątek, który pokonał bramkarza Gości strzałem głową. Warto nadmienić także, że do końcowego gwizdka nie dotrwał Ireneusz Augustyniak, który wyleciał z boiska za dwie żółte kartki, które w obu przypadkach otrzymał za bezsensowne zachowanie. Bez wątpienia był to jeden z najlepszych meczów Orła Pawłowice po reaktywacji. Trzeba mieć nadzieję, że nasze efektowne zwycięstwa w Klasie B, będą cieszyć kibiców aż do końca sezonu.

4 mecz w rundzie wiosennej sezonu 2009/2010 (Szaluna-1970 Zębice vs. Orzeł Pawłowice – 1:3):

Kolejka marzeń: Wygrywamy, a rywale gubią punkty!

W niedzielę, 9 maja 2010 r., rozegraliśmy czwarty mecz ligowy w rundzie rewanżowej sezonu 2009/2010. Przeciwnikiem była drużyna Szaluna-1970 Zębice, która zajmowała ostatnią pozycję w tabeli. Wygraliśmy 3:1 i dzięki remisom Wratislavii i Różanki nasze szanse na mistrzostwo wzrosły, jednak nie będzie łatwo wygrać wszystkie mecze, które pozostały jeszcze w obecnym sezonie. Z pewnością jednak nie odpuścimy i będziemy walczyć do samego końca! Mecz zaczął się od obustronnej wymiany ciosów. Około 15. minuty Radosław Skawski dośrodkował piłkę w pole karne, gdzie czekał Marek Masalski, który strzelił bramkę na 1:0. Odpowiedź Gospodarzy była piorunująca i po kolejnych pięciu minutach był remis. Taki wynik utrzymał się aż do przerwy. Kilka minut po gwizdku rozpoczynającym drugą połowę najlepszy snajper Orła Pawłowice, Dawid Świątek strzelił dwie bramki, które dały nam zwycięstwo.

5 mecz w rundzie wiosennej sezonu 2009/2010 (Orzeł Pawłowice vs. Kometa Kryniczno – 3:1):

Komplet punktów w trudnym meczu!

W niedzielę, 16 maja 2010 r., rozegraliśmy piąty mecz ligowy w rundzie rewanżowej sezonu 2009/2010. Przeciwnikiem była drużyna Komety Kryniczno, która plasowała się w okolicach środka tabeli. Mecz był trudny, jednak walczyliśmy do końca, dzięki czemu udało się pokonać rywala 3:1 i zdobyć komplet punktów. Mecz był podobny do tego z Szaluną-1970 Zębice, z tym wyjątkiem, że przeciwnik był lepszy. Objęliśmy prowadzenie po bramce Lecha Frydlewicza, który wykorzystał podanie z prawego skrzydła od Radosława Skawskiego. Niedługo po naszym trafieniu, Kometa odpowiedziała bramką i był remis. Po przerwie Goście ewidentnie grali na czas i chcieli wywieźć remis z Pawłowic, jednak nie udało im się to, gdyż Marek Masalski i Dawid Świątek po dwóch asystach Radosława Skawskiego zdobyli zwycięskie bramki. Teraz czas na najbardziej wymagających rywali... Miejmy nadzieję, że uda się zwyciężyć i awansujemy do Klasy A!

Wszystkie aktualności, tabela, terminarz i pozostałe informacje na temat naszego klubu są dostępne na stronie internetowej: www.orzelpawlowice.futbolowo.pl

Osiedlowy Klub Sportowy Orzeł Pawłowice - Wrocław



OKS Orzeł Pawłowice - Wrocław ogłasza nabór dzieci i młodzieży do sekcji piłki nożnej

w następujących kategoriach grupowych:

- juniorzy młodsi rocznik 1994 - 1995
- trampkarze rocznik 1996 - 1997
- młodzicy rocznik 1998 - 2001

Zajęcia odbywają się na stadionie w Pawłowicach ul. Przedwiośnie

W dniach w środy i piątki od godz. 17⁰⁰

Dzieci biorą udział w zawodach i turniejach piłkarskich pod szyldem klubu OKS Orzeł Pawłowice - Wrocław

Zgłoszenia chętnych przyjmowane są pod tel. 668 825 315
Trener Maciej Kwolek



Drużyna trampkarzy



Drużyna młodzików



Nad pięknym modrym Dunajem... MORAWSKI KRAS – WIEDŃ 3 dni (4 do 6 czerwca 2010)

Rada Osiedla Pawłowice zaprasza tym razem na wyjazd do Wiednia i na Morawy. Zapisy i informacje – Jerzy Szachnowski, tel 600366496.

Program ramowy:

1. dzień Wyjazd ok. godz. 6. 00. Przejazd w okolicy miejscowości Blansko – zwiedzanie jednej z jaskiń Morawskiego Krasu (czas zwiedzania ok. 1, 5 godz.). Przejazd do miejscowości Lednice, stanowiącej część rozległego Lednicko-Valtickiego Arealu wpisanego na listę dziedzictwa kulturalnego UNESCO – zwiedzanie zamku będącego niegdyś letnią rezydencją Lichtensteinów, spacer po parku zwanym „Ogrodem Europy” do minaretu. Przejazd do

hotelu na Morawach Południowych w pobliżu granicy austriackiej. Zakwaterowanie. Obiadokolacja z degustacją miejscowego wina (odpłatna). Nocleg.

2. dzień Śniadanie ok. godz. 7. 30. O godz. 8. 30 wyjazd w kierunku Wiednia. Przejazd do centrum miasta. Objazd autokarem reprezentacyjnego bulwaru Ringstrasse – widok m. in. na Park Miejski, Operę, Parlament, Ratusz, Teatr Dworski, Uniwersytet. Spacer ulicami wiedeńskiej Starówki – m. in. Katedra Św. Szczepana, dziedzińce i budynki zimowej rezydencji cesarskiej – Hofburga. Czas wolny na kawę. Ok. godz. 18. 00 przejazd na wzgórze Kahlenberg, skąd Jan III Sobieski prowadził wojska podczas Odsieczy Wiedeńskiej. Rzut oka na panoramę Wiednia. Zwiedzanie polskiego kościoła Św. Józefa. Obiadokolacja w tradycyjnej wiedeńskiej winiarni z degustacją młodego wina i muzyką folklorystyczną na żywo (odpłatnie). Przejazd do hotelu w bliskiej okolicy Wiednia. Nocleg.

3. dzień Śniadanie ok. 8. 00. Wykwaterowanie z hotelu. O godz. 9. 00 wyjazd do Wiednia, Zwiedzanie pałacu i parku Schonbroenn – reprezentacyjnej letniej posiadłości cesarskiej. Przejazd do Belwederu, gdzie podziwiać można piękną panoramę wiedeńskiej Starówki. Ok. 16. 00 wyjazd z Wiednia. Postój na obiad w Czechach.

Cena – 430 zł (przejazd autokarem, dwa noclegi ze śniadaniem, przewodnik, ubezpieczenie).

UWAGA! Bilety wstępu w Czechach ok. 350kc, w Wiedniu ok. 20euro/osoba. Istnieje możliwość zorganizowania wycieczki łódką do minaretu w Lednicach koszt. ok. 150kc/osoba. Kolacja z degustacją młodego wina przy dźwiękach muzyki w jednej z tradycyjnych wiedeńskich winiarni – koszt. ok. 16 euro/osoba.

Nosek Marylki

Była sobie dziewczynka o imieniu Marylka. Miała niebieskie oczka i mały nosek. Miała też dużo ładnych sukienek i bardzo lubiła się w nie stroić. Codziennie rano, przed pójściem do przedszkola, mówiła do mamy:

– Założę dzisiaj błękitną sukienkę. A może różową. Albo tę spódniczkę w kwiatki.

Później było czesanie – warkoczki, końskie ogonki, rozpuszczone loczki czy może zapięte nowymi spineczkami? Mama mówiła, że najważniejsze, aby ubranka były czyste i zadbane, a Marylka grzeczna i miła, wtedy wszystko będzie dobrze. Ale dziewczynka niezwykle przemawiała się swoimi strojami. Wchodząc do sali w przedszkolu mówiła do koleżanek:

– Popatrzcie, mam nowy fartuszek!

albo:

– Czy widzieliście już taką piękną spinę? a najczęściej:

– A ja mam najładniejsza bluzeczkę! A wy nie...

Tak, tak, Marylka bardzo, ale to bardzo lubiła się popisywać. Przy rysowaniu głośno wychwalała swoje obrazki. Na rytymce zachwycała się swoimi ćwiczeniami. Każdej zabawie chciała przewodniczyć, żeby inne dzieci tylko jej słuchały.

– Marylko – ostrzegała ją mama – jeśli będziesz taka zarozumiała, dzieci nie będą cię lubiły. Nikt nie bawi się z dziewczynkami, które zadzierają nosa!

Jednak chęć wywyższenia się ponad innych była u Marylki bardzo silna. Tego dnia w przedszkolu dziewczynki bawiły się w bajkę o Królowie Śnieżce. Szymek był myśliwym, Piotrek, Kasia i Jacek krasnoludkami, a Monika bardzo chciała być królową Śnieżką.

– Ty Śnieżką? – zaśmiała się Marylka – Królowa musi być piękna, mieć długie włosy i ładne oczy. Nie może być taka brzydka jak ty.

To ja – ja będę Królową Śnieżką! – zawołała i założyła na głowę złotą koronę zrobioną z papieru – popatrzcie jaka ze mnie piękna i mądra królowa!

Ale dzieci wcale nie podziwiała Marylki. Patrzyły z niechęcią, a po chwili odwróciły się do niej plecami i odeszły. Monika płakała, było jej bardzo przykro, że Marylka nazwała ją brzydką.

– Nie płacz – pocieszała ją Kasia – przecież nie jesteś brzydka, a Marylka jest wstrętna i zadziera nosa.

– Właśnie – rzekł Jacek i dodał – wcale nie jest piękna, tylko niedobra jak zła królowa.

– No i mądra też nie jest. Raczej przemądrzała – drwiły inne dzieci. Postanowiły, że nie będą się bawiły z taką zarozumiałą dziewczynką i przestały się do niej odzywać.

Marylka nic sobie z tego nie robiła i resztę przedszkolnego dnia spędziła bawiąc się w fryzjera – mogła do woli przeglądać się w lustrze i czesać swoje loczki.

Po powrocie do domu myślała o tym, że dziewczynki zazdroszczą jej sukienek i dlatego nie chcą się z nią bawić. I że na jej spinki i fryzurki też patrzą z zawiścią. A kiedy po kolacji poszła spać, przyśnił jej się taki sen:

Wczesnym rankiem Marylka obudziła się i od razu pobiegła do lusterka, żeby zobaczyć jaka jest ładna. Kiedy spojrzała w lustro, krzyknęła – na miejscu jej małego, zgrabnego noska wyrosło wielkie, zadarte nosisko! Było takie ogromne, że zasłaniało pół twarzy. Marylka była zrozpaczona. Jak teraz pokaże się w przedszkolu?

– Mamusi! – zawołała – ratunku! Nie mogę się tak nikomu pokazać!

– Ależ możesz, córeczko – rzekła mama – musisz przecież iść do przedszkola.

– Mamo, proszę – płakała dziewczynka – zrób coś z tym nochem!

– Kochanie, o co chodzi? – zdziwiła się mama – twój nosek jest dokładnie taki jak zwykle.

Wzięła za rękę szlochającą Marylkę i zaprowadziła ją do przedszkola. Dziewczynka płakała i płakała, więc nos nie dość, że wielki i zadarty, to jeszcze zrobił się czerwony jak wielka truskawa.

Kiedy dzieci z grupy zobaczyły okropne nosisko, o mało nie pękły ze śmiechu.

– A to ci dopiero! – wołali chłopcy i aż turlali się po podłodze.

– Przestańcie zwracać uwagę na mój nos – prosiła Marylka – popatrzcie lepiej jakie mam dziś warkoczki...

– Ładne – rechotali chłopcy – i ładny nos!

– No, a spódniczka? – zwróciła się do dziewczynek – spójrzcie, nowa...

– Rzeczywiście – chichotały – równie nowa jak nos!

Biedna Marylka nie wiedziała co robić. Wszystkie dzieci wskazywały na nią palcami i słyszała dookoła: nos, n o s, N O S !!!

– Nie chcę takiego nosa! – krzyknęła wystraszona dziewczynka.

– Nie chcę! Ratunku! – i obudziła się we własnym łóżeczku. Na dworze było już jasno.

– Ojej – szepnęła – na szczęście to był tylko sen!

I pomyślała, że nie ma ładnych i brzydkich dzieci. Są tylko grzeczne i niedobre, miłe i paskudne, skromne i zarozumiałe. I że do tej pory była raczej mało przyjemna.

Postanowiła, że zaraz po przyjsciu do przedszkola przeprosi Monikę oraz inne dzieci, którym sprawiła przykrość i postara się być miła i koleżeńska. I od tej pory nigdy, ale to nigdy nie będzie już zadzierała nosa!

Agnieszka Gil